Nr. 36. Warszawa, dnia 5 Września (24 Sierpnia) 1891 r. Rok XI

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentom kwartalnym przypominamy nadchodzący termin przedpłaty i prosimy o możliwie wczesne nadsyłanie jej.

POLITYKA.

CHINY WOBEC EUROPY.

Samo zastanowienie się nie wystarcza, trzeba przyzwać na pomoc wyobraźnię, ażeby przedstawić sobie, co to za ogrom kraj o 20,000 mil kw. większy, a o 200 milionów ludniejszy, niż cała Europa. Takim olbrzymem są Chiny. Naturalnie sama przewaga liczebna nie stanowi jeszcze faktycznej, gdyż wtedy mała Europa nie posiadałaby 830,000 mil kw. w innych częściach świata, ale należy pamiętać, że „państwo niebieskie“ nie jest ani rzadko zamieszkałą pustką, ani gromadą dziczy, której tysiące pierzchają przed szczupłym orszakiem podróżnika. Przeciwnie, lud ten ma swoją starą cywilizacyę, którą uważa za najdoskonalszą; ma swoją dumę i świadomość potęgi, gdyby więc kiedykolwiek targnął się, dźwignął cały i chciał wywrzeć swój gniew, byłby równie straszny, jak niebezpieczny. I oto właśnie widzimy go w takiej groźnej postawie.

Przypomnimy czytelnikom kilka faktów. Przed paru miesiącami ludność doliny Jangtsekiangu z poduszczeń pewnego tajnego stowarzyszenia, nieprzyjaznego cudzoziemcom i panującej obecnie dynastyi, wybuchła przeciwko misyonarzom chrześciańskim. Pierwszy napad nastąpił w Wuhu, gdzie zburzono zabudowania jezuitów i zaatakowano konsulat angielski. Pancerniki chińskie stłumiły szybko ten rokosz, ale zaraz następnego tygodnia rozruchy ponowiły się, przyczem spalono 20 kościołów i szpitali chrześciańskich, zamordowawszy dwu anglików i jednego urzędnika chińskiego. Wprawdzie przywódcy napadu zostali ukarani, dwaj wszakże mordercy nie zostali dotąd stawieni przed sądem.

Cesarz wydał natychmiast odezwę do swych wielkorządców, polecającą im tłumienie i karanie tego rodzaju wybuchów, na którą oni bądź uśmiechnęli się, bądź spojrzeli krzywem okiem. Mogli sobie zaś pozwolić nieposłuszeństwa, gdyż właściwie są oni niezależnymi od cesarza królikami. Ogromna przestrzeń kraju, niezmniejszona za pomocą środków komunikacyjnych, musiała tym prowincyonalnym władcom, oddalonym od rządu centralnego, dać niezawisłość i moc jeszcze większą, niż ich prawa, zresztą bardzo rozległe. Wicekrólowie też nietylko naznaczają podatki w swych dzielnicach, ale nawet rozporządzają ich siłami zbrojnemi. Tak np. istnieje w Pekinie ministeryum marynarki, ale ono nie zawiaduje flotą, której oddziały podlegają rozkazom wielkorządców prowincyonalnych. Gdy podczas starć z Francyą zapytano jednego urzędnika chińskiego, czemu eskadra wicekróla Pekinu nie wypłynęła na morze, odpowiedział: „Po co on ma narażać swoje okręty w walce, która go nie obchodzi; niech sobie Nankin załatwia swoje sprawy.“

Ten ruch odśrodkowy, ta samodzielność zarządców prowincyj stawia rząd cesarski między europejskim młotem a rodzimem kowadłem. Nie uledz żądaniom mocarstw, domagających się bezpieczeństwa dla swych poddanych i surowego karania napastników — znaczy wyzwać przeciw sobie Europę; uledz — to znowu znaczy wywołać zamieszki wewnętrzne. Proces wrzenia i buntów zaostrza się jeszcze niepopularnością dynastyi panującej (Mandżu), tatarskiej, ciągle uważanej za najezdniczą, przeciwko której knuje spiski partya „narodowa,“ starochińska. Nienawidzi ona zarówno domu cesarskiego, jak cudzoziemców. Dotąd widać w gmachu chińskim tylko dym, ale niewątpliwie szerzy się w nim ogień, w który pełnemi piersiami dmuchają wicekrólowie.

Czem ten pożar, jeżeli nie zostanie ugaszony, grozi Europie? Doniośliejszych następstw nie zapowiada już przez to samo, że w istocie swojej jest rozłamem wewnętrznym, buntem wielkorządców przeciw swemu monarsze. Ale jeżeli zwyciężą „starochińczycy“ i obalą obecną dynastyę, położą osadnictwu i wpływom europejskim mocną tamę. W tej możliwości zainteresowane są wielce Rosya na północy i Francya na południu. Dlatego też gazety zagraniczne, nie mogąc stwierdzić zawarcia formalnego sojuszu między temi państwami co do spraw europejskich, głoszą, że on nastąpił co do azyatyckich, a głównie chińskich. Francya miała ofiarować przyjaciółce do użytku w razie potrzeby swoje stacye węglowe dla okrętów, a jednocześnie Rosya jakoby zapewniła sobie podobną pomoc ze strony Korei. Wszystko to są mniej lub więcej prawdopodobne domysły, prawdą zaś jest fakt, że wewnątrz Chin dojrzewa rozstrój i że jego skutkom zewnętrznym mocarstwa europejskie muszą zapobiedz odpowiednią ochroną swoich interesów, a może wzmocnieniem wpływów. Dotychczas działają one zgodnie i łącznie, co im wobec przeciwnika nadaje siłę i powstrzymuje go od wrogich wystąpień. Czy ta zgoda potrwa długo, aż do zupełnego zażegnania burzy — trudno przewidzieć, gdyż harmonia zależeć będzie od układu stosunków międzypaństwowych w Europie, które weszły znowu w stan zupełnej niepewności i natężenia. Bądź co bądź, nad Chinami zawisła ciemna chmura, jedna z tych, których byle wiatr nie rozprasza. Nic też dziwnego, że ciągle ku niej zwracają się baczno spojrzenia polityków.

DEMOKRACYA SZWAJCARSKA
I PRAWO INICYATYWY.

Genewa, 25 sierpnia.

Dnia 5 lipca przyjęte zostało w Szwajcaryi głosowaniem powszechnem przedstawione w kwietniu przez Radę Stanów i Radę narodową prawo inicyatywy. Dotychczas rewizya całkowita konstytucyi mogła być na żądanie 50 tysięcy wyborców wniesiona na rozpatrzenie ludu szwajcarskiego. Rewizyi zaś cząstkowej mogło wymagać jedynie Zgromadzenie federalne. Na mocy nowego prawa 50 tysięcy wyborców może zmusić to Zgromadzenie do przedstawienia ludowi rewizyi jednego lub kilku artykułów konstytucyi, nawet w gotowej już, opracowanej formie. Ciekawy jest ruch, z którego reforma ta wyszła. Wydawałoby się, iż nie może być nic radykalniejszego. Tymczasem jest to oręż, skierowany specyalnie przeciw radykalistom szwajcarskim. „Przyczyna tej reformy — powiada jeden konserwatysta — zawiera się w niezmożnej przewadze radykalizmu. Zbyt słabe, aby go zwalczyć zosobna, mniejszości połączyły się przeciw niemu. Katolicy, konserwatyści, liberalni i demokraci, a po części i socyaliści wykuli wspólną broń przeciw wspólnemu wrogowi.“ Chodzi o to, iż konserwatyści i demokraci są w Szwajcaryi przedstawicielami drobnej, naturalnej gospodarki, panującej tak prawie wszechwładnie, radykaliści zaś — wielkiego przemysłu, ktory na miejsce demokratycznej autonomii i rządów „z dołu w górę“ chce postawić scentralizowany parlamentaryzm z rządami „z góry na dół.“ Rozwój przemysłu wielkiego wieńczył powodzeniem dążenia szwajcarskich radykalistów, tak, że zagrożone mniejszości chcą powstrzymać ich „dążenia francuskie.“ Konserwatywna *Gazeta lozańska* pisze w tym przedmiocie: „Położenie dotychczasowe stawało się nieznośne. Niepodobna było, aby kraj demokratyczny, lud tak zazdrosny o swe prawa i tak świadomy swej mocy, jak szwajcarski, znosił dłużej przywłaszczanie i wyzysk władzy przez jedną partyę. Ostrzeżeń nie brakło pod adresem tych polityków. Ich panowanie, oparte na niewoli, nie mogło trwać dłużej.“ Widzimy więc, iż przeciw burżuazyi, centralizującej władzę na swą korzyść, drobnomieszczańskie i chłopskie żywioły powyłaziły ze swych szczelin, stawiając jej tamę za pomocą prawa inicyatywy. Każdy ważniejszy krok parlamentu na polu rozwoju kapitalizmu chłopstwo będzie mogło powstrzymać drogą głosowania powszechnego — będzie to oręż w jego ręku dla skierowania życia jeszcze bardziej na chłopskie manowce. Ale szczęściem żadne tego rodzaju tamy nie zdołają zmódz żywiołowego rozwoju przemysłu i wszystkich skutków politycznych i społecznych, które on za sobą pociąga. Skutki te są pod wielu względami okropne — krytyka kapitalizmu w zupełności już stronę tę wyświetliła — ale pomimo to ustrój burżuazyjno-kapitalistyczny jest daleko sympatyczniejszy od chłopsko demokratycznego. Panowanie drobnego przemysłu — oto tajemnica stosunków szwajcarskich Odpowiada mu w polityce średniowieczny ustrój autonomiczny — tylko że światłą wolę chłopów wyraża nie król lub książę, lecz sami chłopi — zaśniedziałość religijna w świecie umysłowym: nigdzie duchowieństwo nie ma już tak silnego wpływu na bieg życia, jak tu. Przy drobnych rozmiarach każdej jednostki administracyjnej możliwe jest szpiegowstwo umysłowe, dochodzące do inkwizycyi. W kalwinistycznej Genewie profesorowie ostentacyjnie chodzą do kościoła, gdyż inaczej potraciliby miejsca. Ale nietylko rządząca klika wywiera tyranię, daleko większą jeszcze sam tłum. W naturze chłopskiej sknerstwo przeważa nawet „względy moralności.“ Więc pozwalają „demoralizować swe dzieci“ widokiem pewnego sprosnika, który otrzymawszy milion za wynalazek, zrzekł się pensyi profesorskiej. Ale za to żegnają nią widząc, jak przechadza się z dwiema przyjaciołkami po cnotliwej Genewie. Szwajcarowie nie mają wprawdzie Paryża — z czego są bardzo dumni—któryby pochłaniał wszystkie soki prowincyi i rządził się wszechwładnie, ale za to prowincya ta swą masą słabą, zatapia wszelki przejaw obszerniejszego, europejskiego życia. I nie myślcie, aby na tem t. zw. „wolność“ o ile ona wogóle przy obecnych stosunkach jest możliwa — coś zyskała: jest to tylko panowanie ciemnej i głupiej masy, która wszystko ściąga do swych poziomów, a wszelką obszerniejszą reformę, w której dotykalnego dla chłopów dobrodziejstwa nie widać, tłumi. Niedawno rząd centralny zaproponował prawo o ubezpieczeniu urzędników. Jakto — zawołali chłopi z Waldstatten — my będziemy płacili podatki, z których bezpośredniego użytku my chłopi z Waldstätten nie mamy? Nigdy! Zażądano referendum i piękne prawo przez wysoki rozum chłopów zostało odrzucone. Partykularyzm, przejawiający się we wszystkich sferach życia, wywołuje to, że nie każdy kanton, ale każda gmina uważa się za ojczyznę. Przy takich warunkach o uorganizowaniu europejskiej partyi robotniczej mowy być nie może. Nieszczęsne Grütlivereiny są twierdzami wsteczności. Pierwotnemu stanowi warunków materyalnych odpowiada pierwotność pojęć. Szwajcarscy przywódcy robotników dotychczas nie zerwali z tradycyami demokracyi. „Sie sind ein schöner Demokrat“ — mówił mi z przekąsem jeden z nich, gdym mu wykładał moje poglądy na stosunki szwajcarskie — i to człowiek, któremu wmówiono, że jest Lassallem zurychskim. Gdy to po raz pierwszy usłyszał od jednej wielbicielki, natychmiast kupił sobie białą kamizelkę. Ma już kamizelkę Lassalla. I proszę powiedzieć, gdzie tu na takim gruncie jest miejsce dla „miejscowego geniuszu“? „Das lokale Genie“ ma mieć najwięcej przestworu dla swego rozwoju przy urządzeniach demokratycznych. Ale na czemże to jego działalność przejawić się potrafi — na liczeniu kur, jajek, targaniu chłopów za uszy i nadzorowaniu rynsztoków. Są to bardzo szanowne sfery działalności gminnej, ale nie wymagają genialności. Zapomniałem jeszcze o Antkach, którzy genialnie strugają patyki i Jankach, genialnie grających na fujarce przy akompaniamencie nabożnych westchnień do kieszeni wielmożnych panów — akompaniament ten należy zazwyczaj do pisarzy demokratycznych — ale co tu urządzenia demokratyczne pomogą? Demokracya ani literatury, ani sztuk nie przyznaje i nie ma. Szwajcarya nie posiada ani jednego porządnego teatru, tylko kilka ohydnych jasełek. Nawet czytelnictwo, tak rozpowszechnione, skierowane jest głównie do ogłoszeń: Feuille d'avis — to najulubieńsza lektura szwajcarów. Nigdzie zasklepienie się w swej dziurze nie jest doprowadzone do tak potwornych rozmiarów. Każdy szwajcar — nie daremnie stróżów nazywają ich mianem — ma ogródek i w nim kilkadziesiąt grządek. Codziennie możecie ich widzieć, jak osobiście użyźniają sobie po jednej grządce, czytając gemütlich jakieś „des Gasthofs unter den drei Konigen Zeitung“ — w tym *Zeitungu* skapiają się wszystkie promienie ich inteligencyi. A w niedzielę zbierają się po knajpach i ziewają. Ogadano już wszystkie sprawy miejscowe: komu krowa zdechła, kto się rozchorował itd. Odrazu piesek przebiega pod oknem. Wszyscy się zrywają w wielkiem ożywieniu Czyjby mógł być? Krawca z Metzgergasse. Ale nie, tamten ma dłuższy ogon. A w większych miastach siedzą całemi familiami przy stołach i piją piwo.

KNUT HAMSUN.

GŁÓD.

Nazajutrz śnieg padał jeszcze większy — wielki, z deszczem zmieszany, duże mokre płaty, które, spadając, zmieniały się na błoto. Powietrze było mroźne, ostre.

Wzruszenie wieczorne uderzyło mi do głowy, słodkie spotkanie błogiem upojeniem serce mi przejęło, zbudziłem się więc póżnym rankiem. Przez chwilę leżę, nie śpiąc: w upojeniu zdaje mi się, że Ylajali spoczywa przy moim boku; wyciągam ramiona, obejmuję samego siebie, całuję powietrze. Wreszcie wstaję, piję filiżankę mleka, wkrótce spożywam befsztyk, nie uczuwam już głodu; nerwy tylko silnie są wzburzone.

Schodzę do bazaru z odzieżą. Wpadło mi na myśl, że za nizką cenę uda mi się może nabyć kamizelkę noszoną, albo wreszcie co innego, aby widział coś pod tużurek, cokolwiek. Po schodach wchodzę do bazaru, znajduję kamizelkę, którą dokładnie badam. W czasie tego koło sklepu przechodzi jakiś znajomy, kłania mi się i woła; wieszam kamizelkę na miejsce i biegnę ku niemu na dół. Jest to technik; dążył do biura.

— Chodź pan ze mną na piwo — powiada. Ale prędko! Mam mało czasu! Co to za pani, z którą pan wczoraj wieczorem spacerował?

— A jeżeli — odrzeknę zazdrosny na samą myśl o niej — a jeśli to moja narzeczona!

— Nie żartuj pan! — woła.

— Tak, wczoraj właśnie rozstrzygnęły się nasze losy!

Zawstydził się i uwierzył, uwierzył bezwarunkowo. Kłamię, ile się da, aby go się coprędzej pozbyć! Podają piwo, pijemy i idziemy.

— A więc do widzenia! Ale, ale... — powiada nagle — jestem panu dłużny jeszcze parę koron wstyd i hańba, że ich jeszcze nie oddałem; Wkrótce jednakże zwrócę je z pewnością!

— Dziękuję — odrzekłem, lecz wiedziałem, że pieniędzy tych nigdy nie zobaczę.

Niestety piwo niebawem uderza mi do głowy, robi mi się bardzo gorąco. Ogarnia mnie wspomnienie przygody wieczornej; myśli mi się mącą. A jeżeli we wtorek nie przyjdzie? A nuż rozmyśli się, zacznie mnie podejrzywać... podejrzywać o co?.. Nagle odzyskuję przytomność, przypominają mi się znowu owe pieniądze... Ogarnia mnie obawa, śmiertelna rozpacz o samego siebie. Oszustwo to ze wszystkimi szczegółami staje mi przed oczyma: widzę mały sklepik, stół, własną chudą dłoń, w chwili, kiedy ta po pieniądze sięga i maluję sobie w myśli czynności policyi w razie, gdyby zabrać mnie przyszła... Nogi i ręce związane... nie, tylko ręce, a może ta jedna ręka... krótki protokół dozorcy... zgrzyt jego pióra. Weźmie pewnie nową stalkę... Jego spojrzenie, ach to przykre spojrzenie! — Ho, panie Jangen! Aha... Wieczny mrok...

Aby dodać sobie otuchy, zaciskam dłonie, idę coraz prędzej. Wreszcie jestem w Stortowie. Siadam.

Co za dziecińtswo! W jakiż sposób mogli mi dowieść, że popełniłem kradzież? Subjekt nie podniesie alarmu, nawet jeżeli sobie scenę ową dokładnie przypomniał; zanadto boi się o swoje miejsce! Żadnych gwałtów, żadnych scen! Proszę bardzo!

Mimo to pieniądze jak grzech ciężyły mi w kieszeni, pozbawiając mnie spokoju. Sam poddaję się badaniu i dochodzę do jasnego wniosku, że dawniej byłem szczęśliwszy, że szczęśliwszy byłem wtedy, kiedy cierpiałem i walczyłem uczciwie! A Ylajali!

Przyjrzyjcie się kiedyś uważnie takiemu chodzącemu więzieniu.

Powyżej przytoczony obraz szwajcara, osobiście użyźniającego grządkę, jest dla niektórych przedmiotem obowiązkowych zachwytów. „Co za samodzielność!“ Samodzielność ta najlepiej, rozumie się, występuje w takiem niezależnem władaniu, we własności prywatnej, którą trzeba koniecznie obdarzyć proletaryuszów. Pewien mój przyjaciel, szwajcar, otrzymał w dziedzictwie guzik od spodni ojca, jako pamiątkę— „eine solche Pietätslosigkeit“ — mówił mi inny, nie rozumiejąc, jak można drwić z takiej świętości — i trzecią część gruszki. Drzewo otoczone jest ogrodzeniem, którego przestrzeń podzielona jest na trzy części, należące do trzech właścicieli. Do czyjej części owoc spada, do tego należy. Każde pole w Szwajcaryi podzielone jest na setki szmatków, skrzętnie otoczonych zagródkami i każda cząsteczka ma osobnego pana. W tych stosunkach własnościowych i wytwórczych zawiera się tajemnica wszystkich stosunków społecznych Szwajcaryi, jest to zarazem istota „wolności, niezależności i demokratyczności“ jej dzielnych synów.

Nie, urządzenia szwajcarskie nie są bynajmniej formą, do której Europa zachodnia miałaby dążyć, jako do ideału; przeciwnie, faktycznie Szwajcarya dąży w kierunku, w którym Niemcy i Francya już dawno postępują. Konstytucye z lat 1848 i 1874 przedstawiają olbrzymie kroki na polu centralizacyi. Jest to zjawisko pocieszające, bo jeżeli państwa przemysłowo rozwinięte i scentralizowane mają wiele plag, to przynajmniej przedstawiają zarazem potężne siły cywilizacyjne i olbrzymie sfery dla ich rozwoju. Szwajcarya nie pod tym względem nie przedstawia: nie ma ani świadomej i jednolitej klasy robotniczej z programem reform społecznych, ani scentralizowanej władzy, która w ręku takiej klasy mogłaby być dźwignią postępu. Ma natomiast urządzenia chłopskie, które zwolennikom sielanki dostarczają materyału dla idealizacyi. Nic dziwnego, iż tutejsza demokracya społeczna domaga się większego ześrodkowania władzy, a jeżeli przyjmuje prawo inicyatywy, to tylko dlatego, iż stanowić ono będzie w jej ręku środek agitacyi śród robotników, jakkolwiek nie łudzi się ona co do jego wpływu na ogólny bieg życia: będzie to dźwignia chłopska dla skierowania życia na chłopskie manowce. Ale na szczęście nie zdoła on przemódz żywiołowej potęgi wielkiego przemysłu.

L. W.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Polityka zaczyna mieć „sensacye.“ Po doniesieniach, głoszących zupełne zwycięstwo Balmacedy, prezydenta Chili, nadeszła wkrótce wiadomość, że został zupełnie rozbity i uciekł a wojska kongresowe zajęły stolicę kraju i wszystkie jego twierdze. Jest to zapewne koniec wojny domowej, która od pół roku przeszło niszczy naród, a dodajmy, koniec sprawiedliwy. Balmaceda bowiem, który z zasłużonego swemu społeczeństwu obywatela stał się zuchwałym przywłaszczycielem władzy, gwałcicielem konstytucyi, maleńkim Cezarem, lekceważącym przedstawicieli narodu i pragnącym rządzić wszechwładnie bez ich udziału, byłby jako zwycięzca okropną plagą, nietylko przez siebie samego, ale także przez zarzewia buntu, które by ciągle przeciw niemu się tliło. To, co obecnie nastąpiło, było tylko kwestyą czasu, prędzej czy później nastąpić musiało — szczęściem dla Chili nastąpiło prędzej. Naturalnie ani o prezydenturze uciekającego przed zemstą Balmacedy (która upływała 18 września), ani wybranego przezeń następcy — nie ma mowy. Kongres obdarzy tą godnością kogoś innego, a przedewszystkiem dopełni swą konstytucyę zastrzeżeniami, któreby ubezpieczyły kraj w przyszłości od podobnych zamachów i wstrząśnień.

W tej wojnie domowej po raz pierwszy wypróbowane zostały nowe karabiny systemu Manlichera i proch bezdymny. Otóż podobno broń ta (w którą zaopatrzone było wojsko kongresowe) działała strasznie: kule przebijały po kilku żołnierzy stojących za sobą. Pouczająca wskazówka tego, co spoczywa w arsenałach europejskich i czego od nich spodziewać się można.

Jeszcze większe wrażenie, niż niespodziewany wynik wojny chilijskiej, sprawiła wiadomość *Standarda*, że Porta pozwoliła Rosyi na swobodny przepływ okrętów wojennych przez cieśninę Dardanelską. Wiadomość ta nie została dotąd stwierdzona, a zbyt ona posiada wielką wagę, ażebyśmy mogli ją przyjąć bez należytej ostrożności na wiarę dziennika angielskiego. Dodany do niej komentarz wydaje nam się wprost dziecinny. Niedawno władze tureckie zatrzymały w Dardanelach okręt ruski „Moskwa“ jako wojenny. Poseł Nelidow wniósł do Porty protest, gdyż na statku znajdowali się nie żołnierze, lecz rezerwiści, i zażądał odszkodowania. Otóż prasa zagraniczna utrzymuje, że otwarcie cieśniny dla wszystkich okrętów ruskich jest wynagrodzeniem za 12-to godzinne przetrzymanie „Moskwy.“ To wygląda na bajkę. Mógł między Rosyą a Turcyą stanąć jakiś układ co do Dardaneli, ale nie na takiej podstawie. Swoją drogą prasa zagraniczna jest mocno zaniepokojona, a John Bull, który na wszystkie tego rodzaju wypadki odpowiada nowem wyszarpnięciem kawała zdobyczy z ciała Turcyi, oświadcza w *Timesie*, że — nie usunie się z Egiptu.

W tej chwili odbywają się wielkie manewry austryackie w Schwarzenau, na które przybył cesarz niemiecki. Nie chodzi w tem spotkaniu o same względy wojskowe, gdyż obu monarchom towarzyszą ministrowie spraw zagranicznych z sekretarzami. Wilhelm II jednak nie odzyskał widocznie zdrowia, skoro w armii austryackiej wydano rozporządzenie, ażeby go nie witano chorągwiami, od których mógłby się koń spłoszyć.

Dopiero w drugiej połowie b. m. Franciszek Józef ma przybyć do Pragi na wystawę, jeżeli nie zajdą wypadki, które go zniechęcą. Młodo-czesi bowiem przygotowują poważną manifestacyę, przypominającą ich prawa historyczne, mianowicie urządzają obchód jubileuszowy koronacyi Leopolda II na króla czeskiego w r. 1791. Przedsiewzięciem tem kieruje Gregr i Waszaty, co pozwala mniemać, że w uroczystości nie zbraknie momentów jaskrawych, a przynajmniej niepożądanych dla obecnych kierunków Austryi.

Stwierdzono już dziś, że układy między Watykanem a rządem pruskim w sprawie obsady arcybiskupstwa gnieźnieńsko-poznańskiego nie doprowadziły do zgody. Obie strony pozostają przy swoich wymaganiach względem narodowości kandydata.

Książę czarnogórski, dotknięty ciężką chorobą szyi, szukał porady u lekarzów wiedeńskich, którzy jednak cierpienia nie usunęli.

BADANIA NAUKOWE.

PARALOGIZM WSPÓŁCZESNEJ FILOZOFII.

Jak trudno umysłowi ludzkiemu pozbyć się narzuconych sobie przez tradycyę poglądów i formułek, jaskrawy tego przykład mamy na dzisiejszej filozofii. Zerwała ona ostatecznie z dogmatyzmem racyonal-

Czyż grzesznemi rękami nie ściągałem jej na poziom, na którym sam dzisiaj stoję? Boże mój! Boże jedyny! Ylajali!

Zrywam się na równe nogi i idę prosto ku babie z ciastami, koło apteki „pod słoniem.“ Mogę jeszcze zmyć z siebie tę hańbę, jeszcze czas, całemu światu dowiodę, że mogę! Po drodze przygotowuję sobie pieniądze i biorę je w rękę — wszystkie... Schylam się nad kramikiem baby, jak gdybym miał zamiar coś kupić i bez słowa rzucam jej te pieniądze. Bez słowa też oddalam się natychmiast.

Co za wspaniałe uczucie! Jestem znowu uczciwym człowiekiem! Kieszenie próżne już mi nie ciężą i ubóstwo moje sprawia mi rozkosz! W gruncie rzeczy pieniądze te dużo mnie kosztowały tajemnego zmartwienia; myślałem o nich zawsze ze wstrętem; nie jestem duszą zakamieniałą: uczciwa moja natura wzdrygała się przed tak nizkim czynem. Dzięki Bogu, podniosłem się teraz znowu we własnem mniemaniu. Kto z was tak postąpi—mówię, spoglądając na tłumy, uwijające się po targu. Pokażcie, kto tak postąpi! Uszczęśliwiłeś biedną starą kramarkę: nie wiedziała, co się z nią dzieje! Dziś wieczór dzieci jej już o głodzie spać nie pójdą!

Myśli te dodają mi otuchy, znajduję, że zrobiłem doskonale. Chwała Bogu, żom pozbył się wreszcie tych pieniędzy!

Wzburzony, idę jak pijany ulicą. Pysznię się sam sobą! Nie posiadam się z radości na myśl, że stanę przed Ylajali czysty i uczciwy; nie czuję żadnego bólu, głowę tak mam jasną i lekką, jak gdyby ze światła utkaną. Nagle uczuwam dziwną zachciankę: rad bym spłatać jakiegoś figla, popełnić jakieś szaleństwo, miasto całe do góry nogami przewrócić! Idąc „Granicą,“ zachowuję się jak waryat; w uszach mi szumi, w mózgu zamęt wzmaga się. W głupim tym szale chcę dojść do posłańca, który wcale mnie nie zaczepił, chcę podać mu mój wiek, zajrzeć mu badawczo w oczy i oddalić się bez dalszych wyjaśnień... Rozróżniam cienie w śmieciu i głosach przechodniów, obserwuję parę drobnych ptaszyn, skaczących przede mną na ulicy, studyuję fizyognomię chodników, odkrywam na nich różne znaki i dziwaczne figury. Wreszcie dochodzę do placu Stortingu.

Nagle zatrzymuję się: patrzę na fiakry. Stangreci przechadzają się, gawędząc z sobą, pochylone konie stoją na deszczu i śnieżycy. Chodź! mówię dając sobie, szturchańca łokciem. Szybko zbliżam się do najbliższego fiakra: wsiadam. Ullevoldwej nr. 37!— rozkazuję.

W drodze woźnica ogląda się za siebie, nachyla się, patrzy pod budę. Czy ma mnie w podejrzeniu? Bezwątpienia zniszczone moje ubranie zwróciło jego uwagę.

Aby podejrzenie to zażegnać, mówię:

— Mam się spotkać z jednym panem! — Poczem objaśniam mu dokładnie, że z panem tym spotkać się *muszę*!

Stajemy pod nr. 37, wyskakuję, wchodzę na schody, aż na 5-e piętro, chwytam za taśmę i dzwonię: dzwonek wewnątrz odzywa się wrzaskliwie sześć, siedm razy.

Otwiera mi panna; spostrzegam, że w uszach ma złote kolczyki, przy staniczku guziczki czarne, materyą obciągane. Patrzy na mnie z przerażeniem.

Pytam o Kierulfa, Joachima Kierulfa, handlarza wełny — jeżeli nic nie ma przeciwko temu — jest tylko jeden Kierulf...

Panna przecząco potrząsa głową.

— Tu żaden Kierulf nie mieszka!

Spogląda na mnie, chwyta za klamkę, jak gdyby cofnąć się już chciała do pokoju. Nie czyni najmniejszego wysiłku, aby przypomnieć sobie adres tego człowieka; a widocznem było, że zna Kierulfa i że mogłaby mi adres jego wskazać, gdyby tylko chciała. Ot leniwe stworzenie! Wpadam w złość, odwracam się do niej plecami i zbiegam ze schodów.

nym; powtarza ustawicznie, że bez ścisłej krytyki nie przyjmuje żadnego twierdzenia, że w swych wywodach opiera się zawsze na faktach sprawdzonych, kierując się przytem zasadami, jakich jej dostarcza dokładna analiza warunków poznania. Pomimo to wszystko, rozwijając odważnie sztandar monizmu; wypisuje na nim wielkiemi głoskami godło, zapożyczone wprost od dualizmu, który uważa za przesąd — godło fałszywe, sprzeczne z zajętem przez nią stanowiskiem i skazujące ją już przez to samo na liczne niekonsekwencye, a nawet niedorzeczności.

Mógł dualizm z czystem sumieniem zadawalać się tradycyjnem pojmowaniem ciała, jako rzeczy rozciągłej i duszy, jako rzeczy nierozciągłej. Będąc w gruncie pozbawiony wszelkich podstaw naukowych, nic dziwnego, że w tego rodzaju określeniu nie był zdolny dopatrzeć całej nielogiczności. Zresztą na jego usprawiedliwienie można przytoczyć okoliczność, że wtedy, gdy on wyłącznie prawie panował w świecie myślenia, teorya poznania była jeszcze w kolebce i podział własności ciał na pierwotne i wtórne cieszył się powszechnem uznaniem. Dziś atoli, kiedy teorya poznania została ostatecznie wyrobiona, kiedy udział każdej czynności umysłowej w nabywaniu wiedzy został jaknajściślej oceniony i określony — przyjmować z dobrą wiarą pojęcia zawdzięczające swe pochodzenie naiwnemu zapatrywaniu się na rzeczy, jest grzechem. Dość powiedzieć, że przyjmując w zasadzie jeden byt, każe mu dzisiejszy monizm składać się z dwóch dyametralnie przeciwnych sobie pierwiastków na tej tylko zasadzie, że nierozciągłość jest bezwzględnem zaprzeczeniem rozciągłości. Ponieważ między materyą i duchem nie ma nic wspólnego i wzajemnie się one wykluczają, zachodzi pytanie, jakim cudem zostały z sobą połączone w ten sposób, że nie tylko nie dają się rozłączyć, ale nadto we wszystkich swych objawach jaknajdokładniej zgadzają się, pomimo że wzajemnie na siebie nic wpływają i pozostają nazawsze sobie obce? Na pytanie nie ma odpowiedzi. Trudno bowiem za nią uważać takie prawa, jak: współbytność, paralelizm, które w tym wypadku rzeczy nietłómaczą, lecz tylko je oznaczają.

Ustrzegli się powyższych sprzeczności ci z wyznawców monizmu, którzy uważają materyę i ducha, jako dwa różne objawy jednego bytu, nieznanego nam co do swej istoty, jako dwie strony tej samej rzeczywistości, niedostępnej naszemu poznaniu. Ale za to dopuścili się innej. Uznawszy materyę i ducha za zjawiska współrzędne, odmówili im jednocześnie współwymierności, trzymając się doświadczenia, które wykazuje, że zakres zjawisk duchowych jest ciaśniejszy, niż materyalnych.

Jakiż jest zasadniczy błąd tradycyjnego pojmowania ducha i materyi? Błędem tym jest rozróżnianie ducha i materyi na podstawie własności, która nie jest rzeczywistą, ale przezorną, która jest prostem złudzeniem, mającem swe źródło w warunkach naszego poznania.

Dwie są drogi, któremi dochodzimy do poznania rzeczy: obserwacya zewnętrzna, dająca nam poznać zjawiska fizyczne, i obserwacya wewnętrzna, za pomocą której nabywamy poznanie o zjawiskach duchowych. Z dwu tych dróg jedna tylko obserwacya wewnętrzna daje nam poznanie rzeczy bezwzględnie pewne.

Bezpośrednio, intuicyjnie, znamy tylko to, co w nas samych się dzieje: zmiany naszej świadomości, stany naszego *ja*. Czucia zmysłowe i postrzeżenia, przyjemność i przykrość, wzruszenia i pragnienia — są to fakty, których jesteśmy pewni bezwzględnie, o których wątpić nie możemy, chociażbyśmy chcieli — fakty, same za siebie przemawiające, stanowiące całość w sobie skończoną. Każdy fakt psychiczny, każdy stan świadomości znamy o tyle tylko, o ile go sami doświadczyliśmy — żadne opisanie, chociażby najdokładniejsze, nie da go nam poznać, jeżeli go w samych sobie nie obserwowaliśmy. Niezawodnie, że poznanie zjawisk psychicznych, jak wogóle ludzkie, jest względne; opiera się bowiem na porównaniu, na wykryciu różnic i podobieństw między niemi. Z drugiej atoli strony jest ono bezwzględne, gdyż jest poznaniem bezpośredniem, a więc dającem nam poznać rzeczy, jakiemi są, nie zaś, jakiemi się być wydają dzięki narzędziom, za pośrednictwem których je poznajemy, a które nie tylko zabarwiają je właściwym sobie kolorem, ale, co gorsza, przekształcają do niepoznania. Przyjemność i przykrość, strach, miłość, pragnienie szczęścia — nie są prostymi tylko obrazami nieznanej nam rzeczywistości, przeobrażonem jej odbiciem w naszej świadomości, lecz samą rzeczywistością. Świadomość nie stanowi oddzielnego faktu od zjawisk psychicznych, coś nakształt zwierciadła, w którem by owe fakty odbijały się. Jest ona samymże faktem, powstałym na gruncie pewnych objawów życiowych, mającym różną jakość i natężenie, ale w zasadzie tą samą naturę.

Inną ma wartość nasza wiedza o świecie zewnętrznym. Do poznania zjawisk fizycznych dochodzimy za pośrednictwem zmysłów. Jest ono tedy względnem podwójnie: naprzód dla tego, że polega na porównaniu, powtóre dla tego, że nie daje nam poznać rzeczy samych, lecz ich działanie na nas i to przemienione do tego stopnia, że między czuciem, które jest ostatecznym skutkiem owego działania, a niem samem, nie ma żadnego podobieństwa. Co więcej, samo to działanie rzeczy zewnętrznych jest raczej domysłem, nie zaś faktem, wnioskiem naszego umysłu i to wnioskiem najgorszego rodzaju — ze skutku o przyczynie. W rzeczywistości bowiem znamy tylko czucia nasze i postrzeżenia, jedynie dla tego, że w nich czujemy się bierni, wierzymy, że są one w nas spowodowane przez coś, co nie jest nami, co jest zewnątrz nas i posiada pewne własności, będące przyczyną naszych czuć zmysłowych. Nie znając przyczyn, podstawiamy za nie znane nam ich skutki — i w ten sposób obdarzamy świat zewnętrzny własnościami, jakich on nie posiada. Świat zewnętrzny sam w sobie jest bez barwy i dźwięku. Kolory, dźwięki, zapachy, smaki itd. są zjawiskami duchowemi, są naszemi czuciami, niemającemi nic wspólnego z zewnętrzną rzeczywistością. Mają one znaczenie czysto podmiotowe i tylko w przenośnem znaczeniu mogą być pojmowane, jako własności ciał. Wierząc bowiem w rzeczywistość świata zewnętrznego, musimy również wierzyć, że każde nasze czucie ma jakiś równoważnik w owym świecie. Zmusza nas do tego zresztą powszechne doświadczenie, wykazujące, że między warunkami czuć i postrzeżeń panuje pewien, niezależny od nas, porządek i że zawsze w tych samych warunkach te same powstają czucia i postrzeżenia. Czem są te równoważniki? Tego ani wiemy, ani wiedzieć możemy. Sprowadzamy wszystkie zjawiska fizyczne do ruchu i w szczególnych jego postaciach upatrujemy przyczyny różnych czuć zmysłowych, taka atoli redukcya nic nie tłomaczy, ułatwia nam tylko uporządkowanie rzeczy, sam ruch albowiem jest wyobrażeniem, mającem tylko podmiotowe znaczenie, jest wytworem naszego umysłu, któremu w rzeczywistości nic podobnego nie odpowiada.

Ze wszystkich własności, jakie przyznajemy ciałom i całemu wogóle światu zewnętrznemu, najważniejsze ma dla nas znaczenie rozciągłość. Jest ona dla nas niejako synonimem bytu. Co nie ma rozciągłości, to dla nas nie istnieje, gdyż jest niedostępnem dla zmysłowego spostrzegania. Jestże ona rzeczywiście tem, za co ją bio-

---

— Nie zastałem go! — mówię do woźnicy.

— Nie ma go w domu?

— Nie! Jedzie na Tomtegaden nr. 11!

Jestem silnie wzburzony, a wzburzenie to udziela się i woźnicy; myśli, że idzie tu przynajmniej o życie i milcząc rusza. Pędzi konie co siły.

— Jak się ten pan nazywa? — pyta w końcu, odwracając się na koźle.

— Kierulf! — handlarz wełny — Kierulf!

I woźnica potwierdza, że nie może być wątpliwości co do tej osoby.

— Czy ten pan nie nosi czasem jasnego surduta?

— Co? — wołam. — Jaki jasny surdut znowu? Oszalałeś? Czy myślisz, że szukam filiżanki z herbatą? Jasny surdut był mi nie na rękę, psuł mi rysunek, który byłem sobie zrobił dla tego człowieka.

— Jak pan mówił że się nazywa—Kierulf?

— No tak! Czy to takie dziwne? Nazwisko to nie hańbi nikogo!

— Czy nie ma czasem rudych włosów?

— Być może, że ma rude włosy!

W chwili, kiedy woźnica o tem wspomina, nagle nabieram pewności, że Kierulf jest rudy. Czuję formalną wdzięczność dla dorożkarza, potwierdzam, że odgadł wygląd tego człowieka; tak jest, istotnie, byłoby rzadkością spotkać Kierulfa bez rudych włosów...

— To musi być ten sam, którego kilkarotnie już woziłem! Ma sękatą laskę?

Teraz dokładnie widzę już Kierulfa przed sobą!

— Ha, ha — mówię — nikt go chyba bez tej sękatej pałki nie widział! Co do tego możesz być spokojny, zupełnie spokojny!

— Tak, nie inaczej, to ten sam pan, którego woziłem. Poznaję go...

I pędzimy dalej, aż skry lecą.

Podczas całego tego burzliwego epizodu ani na chwilę nie tracę przytomności umysłu. Mijamy jakiegoś policyanta, zauważam, że ma nr. 69. Liczba ta uderza w świadomość moją z okrutną dokładnością i jak trzaska w mózg mój nagle się wbija. 69, wyraźnie 69... nie zapomnę nigdy... 69.

Opieram się o siedzenie — znowu staję się pastwą najszaleńszych pomysłów; pod budą kurczę się we dwoje, nie chcąc, ażeby ktoś spostrzegł, że poruszam ustami; zaczynam sam do siebie mówić, jak idyota. W mózgu moim szaleje obłęd; puszczam mu wodze, głęboko przekonany, że ulegam wpływom, których opanować nie jestem w stanie. Zaczynam się śmiać, cicho i namiętnie, bez najmniejszej przyczyny: to jeszcze wesołość, podochocenie po tych paru szklankach piwa, które wypiłem. Stopniowo wzburzenie ustaje, spokój wraca. Zimno mi w skaleczony palec; ażeby go trochę ogrzać, wsuwam go między szyję a kołnierz od koszuli. Dojeżdżamy do Tomtegaden. Dorożkarz staje. Wysiadam bez pośpiechu, bezmyślnie, ospale, z ciężką głową. Wchodzę do bramy, potem w podwórze, przecinam je na poprzek, spostrzegam drzwi, otwieram je, wchodzę i staję w korytarzu, jakby przedpokoju o dwóch oknach. W jednym kącie dwa kufry, jeden na drugim, wzdłuż ściany tapczan, nielakierowany, kołdrą przykryty. Naprawo, z sąsiedniego pokoju słyszę krzyk dziecka, z drugiego piętra, nade mną — szelest sprawiany stukaniem po żelaznej płycie. Wszystko to zauważam, wchodząc.

Przez przedpokój zdążam spokojnie do dalszych drzwi. Nie spieszę się, ani myślę o ucieczce, otwieram je i wychodzę na Vogumandsgade. Spoglądam na kamienicę, przed którą właśnie stoję: „Zajazd i mieszkania dla podróżnych.“

Ani myślę uciec, umknąć przed dorożkarzem, który na mnie czeka; idę sobie spokojnie przez Vogumandsgade, bez obawy, nie czuję nawet, że popełniam coś niedobrego. Kierulf, ów handlarz, który tak długo tkwił w moim mózgu, ten człowiek,

rzemy, własnością, tkwiącą w rzeczach samych i nierozdzielną z ich bytem?

W czasach, kiedy odróżniano własności ciał pierwotne od wtórnych, kiedy wierzono, że ciśnienie, ciężkość, opór, leżące w podstawie naszego pojęcia materyi, są własnościami ciał rzeczywistemi, wtedy można było również wierzyć, że i rozciągłość jest ich własnością rzeczywistą, a tem bardziej, że zdawało się, iż daje nam o niej wiedzieć bezpośrednio zmysł dotyku. Dziś wszakże nie ulega już najmniejszej wątpliwości, że tak zwane własności ciał pierwotne niczem się nie różnią od wtórnych, że tak jak i te ostatnie, mają znaczenie czysto podmiotowe.

Rozciągłość znamy bezpośrednio. Daną nam ona jest we wzrokowych postrzeżeniach. Każde czucie wzrokowe jest rozciągłe, zajmuje pewną wielkość w polu widzenia. Maż ona swą przyczynę we wrażeniach, jakie odbiera siatkówka oka? Bynajmniej. Wrażeniom, odbieranem przez oko zbywa na ciągłości. Są one rozdzielne i dopiero w czuciu łączą się w jednolitą całość. Czucie zaś powstaje nie w narządzie zmysłowym, ale w mózgu. Zresztą zanim wrażenie dojdzie do właściwej sobie warstwy komórek mózgowych, ulega tylokrotnym przemianom, że o jego podobieństwie do czucia mowy nawet być nie może. Określamy tę różnicę, mówiąc, że wrażenie jest zjawiskiem fizycznem, czucie zaś — psychicznem. Zgodnie z tem określeniem musimy przyznać, że i rozciągłość stanowiąca tło wzrokowych postrzeżeń, jest faktem psychicznym i ma znaczenie czysto podmiotowe.

Ponieważ wzrok stanowi główne narzędzie naszego poznania i pod jego kierunkiem kształcą się wszystkie inne zmysły tak, że każde nasze czucie mniej lub więcej silnie kojarzy się z wyobrażeniem rozciągłości, przeto i wszystkie własności ciał, będące uprzednio trwanemi czuciami naszemi, są dla nas rozciągłe. Rozciągłość wzrokowa stanowi naturalną podstawę wyobrażenia przestrzeni, które urabia się przy pomocy czuć dotykowo-mięśniowych. Przestrzeń nie jest niczem innem, jak rozciągłością o trzech wymiarach. W ten sposób rozciągłość, stanowiąc tło wszystkich naszych wyobrażeń o świecie zewnętrznym, staje się dla nas znamienną cechą wszystkiego, co jest materyalnem, cechą istotną, w samym bycie materyalnym tkwiącą.

Pomimo tego, że rozciągłość leży w podstawie zewnętrznej obserwacyi, a nawet stanowi niezbędny jej warunek, nie przestaje ona być faktem podmiotowym, któremu w rzeczywistości musi coś odpowiadać, jeżeli mamy wierzyć w byt świata zewnętrznego, ale to coś może doń być tak niepodobnem, jak hieroglif do rzeczy, którą przedstawia.

Takiej jest natury nasze wyobrażenie o świecie zewnętrznym w ogóle i o rozciągłości, jako jego znamiennej cesze. Mają one znaczenie symboliczne, odnoszą się do rzeczy, o której nic zgoła nie wiemy i wiedzieć nic możemy, której samo istnienie nie jest dla nas faktem bezpośredniego poznania, ale prostym wnioskiem, opartym na motywach psychicznej natury. Dowieść istnienia świata zewnętrznego nie mogę, jakkolwiek wierzyć w nie muszę, a przynajmniej muszę postępować tak, jak gdybym wierzył.

Inne ma znaczenie nasze wyobrażenie o świecie wewnętrznym i o jego własności, jaką jest świadomość. Przedstawiają one rzeczy znane nam bezpośrednio. Pewni ich jesteśmy bezwzględnie. Sama wątpliwość o nich już jest dowodem ich prawdziwości.

Mając tedy dwa tak różne wyobrażenia pod względem ich wartości — jedno zagadkowe o świecie zewnętrznym, czyli po prostu o materyi, drugie prawdziwe o świecie wewnętrznym, czyli o duchu — na którem z nich mamy się oprzeć, chcąc je porównać z sobą i wykryć między niemi istotną ich różnicę? Zdaje mi się, iż nie może być żadnej pod tym względem wątpliwości, że takim punktem oparcia może być tylko to wyobrażenie, które jest równoważnem rzeczy przez się oznaczonej, tj. wyobrażenie o duchu.

Badając wszystkie zjawiska duchowe, przekonywamy się, że ich istotę stanowi to, iż są świadome siebie. Jeżeli teraz z tego samego stanowiska będziemy rozważać zjawiska fizyczne, spostrzeżemy łatwo, że wszystkie one pozbawione są świadomości. Jakoż jedyną różnicą, rzeczywistą, nie pozorną, między duchem a materyą, między duszą a ciałem stanowi świadomość, nie zaś rozciągłość, która w odniesieniu do nieznanej nam rzeczywistości zewnętrznej jest pozorem, złudzeniem zmysłowem. W ten sposób, określając ciało i duszę, zamiast mówić, że ciało jest rozciągłe, dusza nierozciągła, winniśmy powiedzieć: *dusza jest świadoma, ciało nieświadome.*

Nie jest to walka o czczy frazes, ale o określenie, któreby wskazywało, z jakiego stanowiska należy zapatrywać się na rzeczy. Filozofia, przyjmująca rozciągłość za cechę, wyróżniającą zjawiska fizyczne od duchowych, wytwarza przepaść między niemi i następnie łamie sobie głowę nad tem, jakby przez tę przepaść most przeprowadzić, któryby połączył z sobą dwa przeciwieństwa. W ten sposób narzuca sobie sztucznie wymyślone zagadnienie, równające się kwadraturze koła. Kiedy tymczasem biorąc świadomość, fakt rzeczywisty, za podstawę do rozróżniania ciała i duszy, znosimy odrazu tradycyjne między niemi przeciwieństwo. Stosunek bowiem świadomości do nieświadomości nie jest taki sam, jaki zachodzi między rozciągłością a nierozciągłością. Między świadomością zupełną, jakiej przykład dają nam ludzie wykształceni w normalnych warunkach, a zupełną nieświadomością, w stanie głębokiego snu albo w hipnozie, bywają stopnie pośrednie — świadomość mniej lub więcej wyraźna. W stanach nawet normalnych nie zawsze możemy uświadomić sobie wyraźnie to, co się w nas dzieje, co odczuwamy, czego pragniemy, a nawet co myślimy. Są zjawiska życiowe pod tym względem tak wątpliwe, że nie wiadomo, czy mamy je zaliczyć do psychicznych, czy do fizyologicznych. Jak trudno przeprowadzić granicę między zjawiskami świadomemi a nieświadomemi, stwierdza dowodnie najnowsza doktryna o bezwiednych stanach duszy, doktryna z gruntu fałszywa, opierająca się głównie na tem, że za rzeczywistą różnicę między ciałem a duszą uważa rozciągłość.

Zjawiska psychiczne należą do tej samej rzeczywistości, co i fizyczne, stanowią tylko najwyższy stopień jej rozwoju w warunkach, jakie istnieją na naszej planecie. Są one ostatecznym wypadkiem sił na niej czynnych i nie mogą być uważane za coś różnego co do swej istoty od tych sił dlatego, że możemy sprowadzić do ruchu, kiedy świadomości do ruchu sprowadzić nie możemy. Niemożność ta nie pochodzi z natury faktów psychicznych, ale z warunków poznania naszego, stąd, że fakty psychiczne znamy drogą intuicyi, syntetycznie, kiedy zjawiska fizyczne — analitycznie. Zresztą fakty psychiczne, pojęte jako ostateczny wypadek spraw fizyologicznych, nie możemy przedstawić sobie w formie ruchu, gdyż ten, jak nas uczy doświadczenie, jest wyrazem działania, wypadek zaś działania ruchem być przestaje. Kryształu nie możemy przedstawić sobie jako ruchu cząsteczek jego, ale jako ich układ stały, jakkolwiek proces krystalizacyi sprowadzamy do ruchu. Pamiętać przytem należy, że ruch, tak

---

w którego istnienie z wszelką wierzyłem stanowczością i którego koniecznie odszukać chciałem, Kierulf ulotnił się z mojej myśli, zgasł wraz z innymi waryackimi pomysłami, które kolejno powstawały i znikały; żył tylko jeszcze w wyobraźni mojej, jako sen, wspomnienie.

W miarę tego, jak dalej idę, staję się coraz trzeźwiejszy; uczuwam ociężałość, znużenie, ledwie nogi za sobą wlokę. Śnieg ciągle jeszcze pada wielkimi, mokrymi płatami. W końcu wychodzę na Grönland, aż pod kościół; siadam sobie na ławeczce, aby wypocząć. Przechodnie przyglądają mi się ciekawie. Dumam.

Oj, Ty Boże mój, jakież smutne to moje życie! Tak serdecznie jestem niem zmęczony, że nawet o byt dłużej walczyć nie warto! Niedola górą — zanadto już mi dokuczyła; zniszczyła mnie do szczętu; cieniem jestem tego, czem niegdyś byłem. Barki mi zapadły, skrzywiły się, z przyzwyczajenia, chodząc, pochylam się naprzód, aby o ile możności piersi ochraniać. Przed paru dniami przyjrzałem się właśnie sobie, ciału memu, na górze, u siebie, w południe. Rozpłakałem się. Przez wiele tygodni jedną nosiłem koszulę: zesztywniała z potu i otarła, poraniła mi ciało; z ranki sączyło się trochę krwistej wody, lecz ból był niewielki; ale strasznie wygląda taka rana na samym środku brzucha. Nie wiedziałem, co z tem robić; sama nie chciała się zgoić; wymyłem rankę, otarłem ją starannie i tę samą wdziałem koszulę. Co było robić...

Siedzę tak na ławce i myślę o tem wszystkiem ze smutkiem. Żal mi samego siebie, nawet własne ręce wstrętem mnie przejmują. Ospały, bezwstydny prawie, wygląd mojej ręki męczy mnie, przykrość mi sprawia; widok moich chudych palców brutalne na mnie wywiera wrażenie, nienawidzę całego tego owisłego cielska, wzdrygam się na samą myśl, że muszę je dźwigać, czuć koło siebie. Boże mój! Gdyby się to już raz skończyło! Tak chętnie chciałbym umrzeć!

Skruszony, we własnych oczach zhańbiony, poniżony, stoję chwilę jak automat, wreszcie wyruszam w drogę do domu. Mijam bramę, na której widnieje napis: „Bielizna pogrzebowa u panny Andersen, na prawo, w bramie." Stare wspomnienie! — mówię sobie i myślę o mojej dawnej izdebce w Hammersborg, o małej kołysance, o tapetach z gazet na dolnej części drzwi, o anonsie latarnika i o świeżym chlebie piekarza Fabiana Olsena... Ach tak, wtedy lepiej mi się działo, w jedną noc napisałem fejleton za dziesięć koron; teraz nic już nie mogłem pisać, absolutnie nic; ilekroć próbuję — w głowie pustka! Tak, tak, życzę sobie śmierci! Idę, coraz dalej idę.

W miarę jak zbliżam się do owego sklepu kolonialnego, przeczucie niebezpieczeństwa coraz silniej mnie ogarnia; lecz trwam w postanowieniu: sam chcę im się oddać w ręce! Spokojnie wchodzę na schodki, we drzwiach spotykam się z małem dziewczęciem, które w ręce niesie filiżankę, wymijam je i drzwi za sobą zamykam. W sklepie zastaję tego samego, co przedtem subjekta, po raz drugi stoimy naprzeciw siebie, oko w oko.

— Co! — rzecze — straszna pogoda!

Po co te wybiegi! Dlaczego nie odrazu przystępuję do badania? Wpadam we wściekłość i mówię:

— Nie po to przecież przychodzę, żeby mówić o pogodzie!

Gwałtowność moja miesza go, nędzny mózg kramarski odmawia mu usług; nawet na myśl mu nie wpada, że skradłem pięć koron.

— Czy pan nie wie, że go oszukałem? — pytam niecierpliwie, przytem sapię silnie, drżę na całem ciele, gotów jestem użyć siły, jeżeli natychmiast do rzeczy nie przystąpi.

Ale biedak o niczem nie wie.

samo, jak rozciągłość, jest wyobrażeniem, które ma znaczenie czysto podmiotowe.

Władysław Kozłowski, (Lwów).

P. S. Ponieważ dwóch nas jest tego samego nazwiska i imienia pracujących w filozofii i piszących w *Prawdzie*, więc dla odróżnienia załączam do swego podpisu miejsce mego pobytu. *W. K.*

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA NIEMIECKA.

30 sierpnia.

Nowy pseudo-mesyasz literatury: Kurt Pfütze-Grottewitz i powieść jego „Neues Leben.“ — „Der arme Dichter“ Augusta Niemanna.

Mamy do zaznaczenia zjawisko, które w najnowszem piśmiennictwie niemieckiem kilkakrotnie już się powtórzyło. Oto z pośród rzeszy młodych literatów, głoszących nowe hasła i dążących do odrodzenia poezyi, „jeden, śmielszej natury, wystawił łeb do góry“ i przedstawia się kolegom po piórze jako mesyasz przez wszystkich oczekiwany. Scenerya tego zbawicielstwa literackiego bywa rozmaita. Czasami mesyasz wysyła naprzód w świat Jana Chrzciciela, który przepowiada jego przybycie i głosi z góry sławę nienapisanych jeszcze dzieł; czasami, w braku usłużnego przyjaciela, reformator staje się własnym swym apostołem. Widzieliśmy wielkiego Bleibtreua, który przez lat parę sam najmocniej był przekonany o swem mesyanicznem powołaniu, aż wreszcie, napisawszy wielką powieść p. t. „Grössenwahn,“ wyznał, że jest tylko jednym z poprzedników poety, którego utwory będą najdojrzalszym owocem nowej epoki literackiej. Podobnie „niemiecki Zola,“ Max Kretzer, opuścił górnolotne skrzydła i kroczy w jednym rzędzie z innymi. Sudermann, którego apostołem był dr. Otto Neumann-Hofer, nowy wydawca tygodnika *Magasin für die Litteratur des In- und Auslandes*, nie ostał się wobec krytyki poważnej. Najdzielniej utrzymuje się jeszcze na powierzchni Gerhard Hauptman, którego wielkość głosi dr. Otto Brahm.

Najnowszy pseudo-mesyasz poezyi niemieckiej nazywa się Kurt Pfütze-Grottewitz. I on, jak wielu przed nim, wylągł się pod opiekuńczemi skrzydłami *Magasinu*. W ostatnim roczniku spotykaliśmy się często z rozprawkami estetycznemi młodego a nieznanego autora. Rozprawki te stanowiły cykl, którego działy powiązane były nie formalnie, ale treściowo. Grottewitz pokusił się o zarys nowej teoryi twórczości. Wszędzie przebijał się „nietzschjanizm,“ źle zrozumiany, stosowany do nowych ideałów poetyckich. Bądź co bądź, widać było, że autor, w miarę sił, zastanawia się nad zadaniem odrodzenia poezyi; pisywał o przetworzeniu ideałów, o tematach i o formie, wreszcie o stylu. Zaznaczył z całą mocą przekonania, że zbliża się chwila, w której zjawi się utwór przełomowy; zważywszy jednak, że w artykułach Grottewitza nie było śladu samochwały, przypuszczano, że jest on apostołem nowego jakiegoś poety-zbawiciela, siedzącego gdzieś w ukryciu. Lecz wtem nagle — o dziwo! — spada powieść proroka i okazuje się, że w artykułach swych sam siebie przepowiadał. Tytuł jej: „Nowe życie — powieść nowoczesna“ *).

Powiemy odrazu: mesyasz upadł sromotnie po tym pierwszym kroku. A miałby był niewątpliwie niejakie powodzenie, gdyby posiadał cokolwiek więcej talentu twórczego, bo przygotował nader zręcznie i efektownie sławę swego utworu. Musiał upaść, bo na polu powieściopisarskiem nie mógł już czerpać sił swych z prac Nietzschego, a własne jego zasoby zbyt są skromne. Bezsilność ta występuje przedewszystkiem w samej robocie, niejednolitej i niezręcznej. Grottewitz używa albo zwrotów spowszechniałych, albo wymuszonych; nie udało mu się napisać ani jednego ustępu w stylu nowym a niepozbawionym cech artystycznych. W obrazach mniejszej wagi wpada w ton biblijny, czasami znów naśladuje rzekomą swobodę, a istotne niechlujstwo językowe „najmłodszych Niemców.“ Tam zaś, gdzie natężenie uczuć osiąga najwyższy stopień, gdzie poeta ujawnić ma całą sztukę psychologiczną, odkrywając najgłębsze myśli wzburzonej jednostki, traci on zupełnie władzę nad przedmiotem i zamiast wszelkich myśli kładzie bohaterom w usta potrójne „ach!“

Nie lepiej wiedzie się Grottewitzowi w ucieleśnianiu nowych ideałów i w kreśleniu zarysów „nowego życia.“ Bohater, dr. Horst Römlitz, jest dość wiernie oddanym typem młodego literata berlińskiego, przypominającym zresztą samego autora. Wydaje on z innym literatem broszury estetyczne, a zarazem jest współpracownikiem dwutygodnika „Das humoristische Deutschland.“ Bohaterką jest studentka, która wyemancypowała się z pod władzy domu rodzicielskiego i wszystkich przesądów konwencyonalnych, a ze swobody korzysta przedewszystkiem w ten sposób, że zapuszcza się w romans z zajmującym kolegą. Balada, jakich wiele. Frieda staje się ideałem Horsta. Nie jest ona piękną w powszechnem tego słowa rozumieniu, lecz ma „piękność nową, piękność indywidualną.“ Cechuje ją „wspaniała nowoczesna harmonia ciała, umysłu i charakteru.“ Nie ma „nosa podlotka,“ ani „znudzonego nosa damy wielkiego świata,“ nie, Frieda ma „eine Zukunftsnase“!

Horst i Frieda kochają się, postanawiają zarzucić ostatnie resztki „dawnego życia“ i rozpocząć „nowe.“ Kwestya tylko, na czem polegać ma to „nowe życie.“ Nieraz Horst wybiera się na przechadzkę, aby je obmyśleć, częściej jeszcze zapuszcza się w długie z Friedą dyskusye o „przetworzeniu wszelkich wartości,“ powtarzając w formie dyalogu artykuły teoretyczne Grottewitza lub raczej naukę Nietzschego. Aż do znudzenia deklamuje powtarzający się ciągle frazes o „dobrym towarzyszu życia, któryby doń dorósł, któryby walczył obok niego i z nim wesoło używał życia.“ To wspólne „Tollen“ stanowi główną treść powieści, a „nowe życie“ w rezultacie wychodzi na „dzikie małżeństwo,“ jakich nigdy nie brakło w kołach artystów i studentów. Trudno zrozumieć, dlaczego Horst i Frieda w związku tym upatrują całą treść „nowego życia“ i dlaczego tyle dlań poświęcają. Nie mogą oni przełamać „przesądów“ towarzystwa, Horst odwiedzać musi znajomych bez Friedy i naraża ją na tysiączne przykrości wyłącznie „w imię idei,“ gdyż mogliby się pobrać. Czy istotnie ideałem społeczeństwa ma być zawieranie ślubów w lesie, zamiast w urzędzie lub w kościele, bezwstydne ściskanie się na ulicy „na złość ludziom“ itp. wybryki swobody studenckiej, którym oddają się Frieda i Horst niejako z namaszczeniem, w imię nowych haseł? Byli w restauracyi; on chce zapłacić za oboje. „Pozwól pan — przerwała mu Frieda — zapłacę sama za siebie! — Ależ pani! — Wszak wiesz pan, *nowe życie!*“ Horst uśmiechnął się, lecz rzecz była jasna: Frieda miała racyę.“

Tak to Kurt Pfütze-Grottewitz reformuje życie i literaturę. Odwróćmy się od tej farsy literackiej i zapoznajmy się z nowym utworem prawdziwego poety, któremu literatura niemiecka zawdzięcza już niejedno cenne dzieło.

*) „Neues Leben,“ moderner Roman von Kurst Grottewitz. Berlin, F. und P. Lehmann.

O wy głupcy, jak tu żyć między wami! Wymyślam, objaśniam, jak się rzecz miała, punkt po punkcie, pokazuję mu, gdzie ja stałem, a gdzie on, gdzie leżały pieniądze, jak je zgarnąłem, jak rękę zaciskałem — on pojmuje wszystko i — nic. Przestępuje z nogi na nogę, nadsłuchuje odgłosu kroków w sąsiednim pokoju, uspokaja mnie, prosząc, abym ciszej mówił, wreszcie woła:

— To obrzydliwie ze strony pana!

— Ale poczekaj pan!

Czuję potrzebę sprzeciwienia mu się, podrażnienia go.

— Nie jest to wcale czyn tak nizki, podły, jak się to nędznej głowie pana wydaje! Pieniędzy tych naturalnie nie zatrzymałem, tego nie zrobiłem! Ja korzyści z nich ciągnąć nie chciałem, sprzeciwia się to całej mojej istocie, z gruntu uczciwej!

— Więc cóżeś pan z niemi zrobił?

— Dałem je biednej, starej kobiecie, co do szeląga oddałem! Taki to ze mnie człowiek... o biednych nie zapominam!

Stoi przez chwilkę, myśli, oczywiście chwieje się w ocenie mojej uczciwości; wreszcie powiada:

— Czy nie należało raczej odnieść pieniądze?

— Toż przecie na pana przykrości sprowadzić nie chciałem, miałem dla pana względy! Ale oto wdzięczność — za to, że się jest szlachetnym! Przychodzę i opowiadam panu wszystko, a pan zamiast wstydzić się jak pies, nie myślisz nawet o tem, żeby mnie przeprosić! Umywam ręce! Niech pana dyabli wezmą! Adieu!

Idę i drzwi za sobą zatrzaskam.

Zaledwie jednakże, przemokły ze śniegu, drżący ze zmęczenia, powracam do siebie, do mojej smutnej dziury, cała moja wesołość znika, wracam do dawnego stanu. Żal mi biednego kupczyka, żałuję, że go zaczepiłem, płaczę, duszę się, ażeby się za podły mój czyn ukarać. Katuję się, co się zowie.!. Naturalnie biedak ów w śmiertelnej o swoją posadę był obawie, nie alarmował o pięć koron, bo nie śmiał. A ja wyzyskałem jego trwogę, wymęczyłem go głośną mową, krzykiem zirytowałem! A pryncypał siedział może w sąsiednim pokoju; o mały włosek, a byłby wyszedł, ażeby zobaczyć, co się w sklepie stało. Nie, podłość moja niema granic!

No, ale dlaczego mnie nie zaaresztowali? Raz by się to wszystko skończyło! Po prostu wyciągałem ręce po powrozy! Nie byłbym się wcale opierał; przeciwnie, jeszcze bym pomógł! Panie nieba i ziemi, dzień mego życia za *jedną* szczęśliwą chwilę! Całe moje życie za jedno danie soczewicy! Wysłuchaj mnie choćby ten jeden raz tylko!

W wilgotnem odzieniu kładę się do łóżka; mam dziwne przeczucie, że w nocy może umrę i dlatego ostatnim wysiłkiem staram się porządnie posłać sobie łóżko. Niech nazajutrz jako tako przynajmniej wyglądam. Potem składam ręce i przybieram pozę.

Nagle przypominam sobie Ylajali! Że też przez cały wieczór mogłem o niej zapomnieć! I znowu słaby promyk światła przedziera się w moją duszę, mały promyczek słoneczny zaczyna mnie niebiańskiem ogrzewać ciepłem. I coraz więcej spływa na mnie słońce, światło jak jedwab miękkie, miłe, łagodne, rozkoszne, upajające. I słońce to grzeje coraz silniej, piecze mnie w skronie i ogniem mózg mi wypala. W końcu łuną bucha przede mną szalony stos promieni; niebo i ziemia płoną, ludzie i zwierzęta w ogniu, z ognia góry, szatany z ognia — otchłań... pustynia... wszechświat stoi w płomieniach... To sąd ostateczny — w ogniu!..

Potem nic już nie słyszę — nie widzę już nic.

(D. c. n.).

Powieści Augusta Niemanna pociągają głównie błyskami sympatycznego ze wszech miar umysłu. Poprzednim jego utworom zarzuciłby można pewne braki w budowie; najnowszy zaś odznacza się nietylko bogactwem myśli, ale i techniką wyrobioną. „Ubogi poeta“ *), to młody jeszcze uczony, o głębszym umyśle i pełen powagi etycznej; w godzinach wolniejszych pisuje poezye, lecz niezbyt świetnie mu się wiedzie na niwie literackiej, gdyż nie umie stosować się do smaku publiczności. Pewnego razu odwiedza go kolega i przyjaciel, żyjący w Berlinie. Mniej uzdolniony, ale praktyczniejszy, wystawił na scenach berlińskich kilka sztuk z powodzeniem. Zaczyna on Edgarowi objaśniać zasady powodzenia literackiego i teatralnego. Doświadczenie pouczyło go, że ani autor, ani reżyser, ani aktor przepowiedzieć nie mogą, jakie wrażenie wywrze nowa sztuka na publiczności. Ustępy, po których obiecywano sobie wiele, mijają bez pożądanego efektu, inne znów, do których żadnej nie przywiązywano wagi, pobudzają do wesołości i do szalonych oklasków. Jest to więc gra hazardowa, w którą śmiało należy się zapuścić. Przyjaciel proponuje spółkę: Edgar miałby dostarczać pomysłów poetyckich i charakterów, on zaś objąłby obrobienie sceniczne; spółka taka przyćmiłaby zapewne wszystkie gwiazdy współczesne. Na zarzut Edgara, że według własnej jego teoryi powodzenie sceniczne zawisłe jest jedynie od szczęścia, odpowiada dramatopisarz berliński:

— Skoro raz silniejszą stanąłem nogą, zwycięztwo trwale spoczywa w mojem ręku. Przypatrz się Sardou'owi, Dumasowi i wszystkim innym! Lub Moserowi, Schöntanowi i Lindauowi u nas! Publiczność ulega przyzwyczajeniu; tłum potrzebuje władzy. Skoro autor raz wszedł w modę, narzucić może publiczności każdy swój kaprys.

— Widoki te, kochany przyjacielu, wcale mi się nie uśmiechają. Jakąż radość sprawić może podobny tryumf nad tłumem bezmyślnym? Czyż nie znaczy to kopać piasek łopatą ze złota, jeżeli najlepsze godziny życia mego, całą siłę ducha mam zużywać na to, aby zarabiać pieniądze, które mnie nie uszczęśliwiają i zdobywać wawrzyny, któremi gardzić muszę? Dla pozyskania oklasków ludu potrzeba koniecznie stać się doń podobnym. Nie wystarcza być jedynie naśladowcą, nie, własna twa natura stać się musi taką, jakim jest tłum, skoro zabiegasz o przyjaźń jego. Nie będziesz miał powodzenia, jeśli jesteś osobą podwójną, jeśli według pewnych reguł, wysnutych z doświadczenia, pisywać będziesz gwoli publiczności, piastując we wnętrzu swem kierunek wzniosły. Na nic to się nie przyda, bo istnieje pewna tajemna sympatya między autorem a publicznością, ludzie czują instynktowo, gdy autor inaczej pisze, a inaczej czuje. A cieszą tłum takie tylko książki i sztuki, które smakowi jego odpowiadają; złości się on, skoro spotyka twierdzenia i poglądy mu obce. Musisz zatem myśleć tak, jak myśli publiczność, jeżeli się jej chcesz przypodobać; musisz to samo, co ona, uważać za ważne i za prawdziwe. Zatem musisz się zaprzeć własnej, lepszej wiedzy, musisz schlebiać tłumowi, uznając jego przesądy i namiętności nietylko za słuszne, lecz nawet za prawdziwą filozofię życia. Trafnie zauważył Schiller, że z poetami pod tym względem sprawa ta sama, co z królami. Ci tylko istotnie są popularni, których natura podobna jest do natury ludu. Lecz zastanówmy się nad tem, czem literat opłacić musi tę popularność — oddać za nią to, co w nim jest najlepszego.“

Idealny ten kierunek, przeszkadzający Edgarowi w powodzeniu literackiem, staje się dlań też zawadą na drodze do szczęścia. Zakochany w Ewie, pięknej córce dymisyonowanego generała, budzi w niej wprawdzie sympatyę dla siebie, lecz jako „partya“ nie przedstawia dla niej świetnych widoków. Oto jak tłomaczy jej pozycyę poety w życiu.

— Większość ludzi, lub raczej wszyscy żyją na to tylko, aby zgotować sobie los przyjemny, to znaczy, aby zarabiać pieniądze i okupić niemi uciechy życia, zdobyć stanowisko poważne, które zapewnia im wpływy i zaszczyty. W poglądach swych na życie trzyma się wszystkich tych przesądów, które czas opanowały. Literat zaś, to człowiek, który nie powinien stać pod mocą przesądów, lecz myśleć samodzielnie, a wyniki rozmyślań swych ogłaszać dla rozjaśnienia pojęć ogółu. Będąc jedynie sługą własnych myśli, nie powinien zostać niewolnikiem uciech życiowych, nie powinien starać się o wielkie zarobki, ani o zaszczyty. Różnica ta pomiędzy nim a tłumem wznosi zaporę fatalną. Ludzie nie rozumieją go i nie cenią, gdyż nie nosi uniformu, nie posiada tytułów i nie robi zyskownych interesów, skutkiem czego nie może żyć we wspaniałem pomieszkaniu, ani jeździć karetą.

Hrabia Brenkenheim, drugi konkurent Ewy, prawi jej o mniej idealnych rzeczach; będąc porucznikiem gwardyi, mówi przeważnie o koniach. Lecz za nim przemawiają rozległe dobra. Ewa nie jest kokietką; szlachetniejsze pierwiastki natury pociągają ją ku Edgarowi, lecz mimo to hołdy, składane przez hrabiego, schlebiają jej. Edgar, obawiając się o swą przyszłość, postanawia wyrwać się z sytuacyi niebezpiecznej i wyjechać do Włoch. Podczas wizyty pożegnalnej dowiaduje się, że Ewa go kocha; wobec tego zostaje, kochankowie porozumiewają się i zaręczają potajemnie. Tymczasem krewni zmuszają ją wyjechać do Berlina, gdzie hr. Brenkenheim starać się chce o jej łaski. Niebawem i Edgar tam się wybiera, aby za pośrednictwem przyjaciela swego wyszukać nakładcę dla swej nowej powieści. Przyjaciel ten wystawia właśnie nową sztukę i zabiera go z sobą do teatru. „Wszystko to mizerne — wyznaje Edgarowi sam podczas przedstawienia — wstydzę się, że to widzisz, lecz tego chce publiczność.“ Rozglądając się po amfiteatrze, spostrzega Edgar Ewę w loży, a za nią hr. Brenkenheima. Opowiadają mu, że to para narzeczonych lub prawie zaręczonych. Nazajutrz udaje się do Ewy, zwraca jej słowo, nie słuchając tłomaczeń, a sam wybiera się do Włoch. Posłuchajmy, jak „stolarz dramatyczny“ pociesza „poetę ducha“ w nieszczęściu:

— Pociesz się, Edgarze! We wszystkich sprawach miłosnych myśl o tem jednem: wszystkie bóle miłości i cały bezgraniczny żal złamanego serca, to zabawka w porównaniu z nędznym stanem poety, który się ożenił. Bo cierpienia po za małżeństwem potęgują i wzniecają ducha i wyobraźnię; lecz troski o żonę i dzieci, o koszty gospodarstwa i reprezentacyi wobec gromady trutniów, zwanych towarzystwem, one pożerają duszę poety, jak rdza żelazo. Im poważniejsza tedy była twoja miłość, tem wdzięczniejszy bądź stwórcy, że zaszczepił w serce jej błogosławioną wiarołomność. Do poety przedewszystkiem odnoszą się słowa, wypowiedziane raz przez sprytnego melancholika: żenić się, to znaczy chcieć wyciągnąć jednego węgorza z worka napełnionego wężami.

Ladawa.

*) „Der arme Dichter,“ Stuttgart, Deutsche Verlags-anstalt.

Z PRASY AMERYKAŃSKIEJ.

II.

Przeglądając „Writer,“ możemy się łatwo przekonać, iż zwyczaje dziennikarskie za oceanem nie różnią się wcale od naszych. Oto np. autorom artykułów i powieści przesłanych do dzienników zalecana jest nieustannie cierpliwość. Autorzy znów skarżą się, iż w wielu razach utwory zwracane im są wcale nierozpakowane, a zatem nieczytane, że na listy nie odbierają odpowiedzi, że zdarzają się często wypadki zagubienia rękopisów lub też czasem rękopis, niby zagubiony, ukazuje się niepojętym sposobem w innem wydawnictwie, niż to, do którego był przesłany.

Redakcye znów tłomaczą się, iż każdy bez wyjątku rękopis jest o tyle rozpatrywany, aby referent mógł się przekonać, czy będzie lub nie dla czasopisma przydatny, że redakcya nie ma obowiązku tłomaczenia się z powodów odrzucenia rękopisu, skoro go zwraca z adnotacyą „niepotrzebny,“ że autor nie ma prawa wymagać więcej. Utrzymują też, że są zarzucone nietylko rękopisami, na co się nie skarżą, bo mają w czem wybierać, ale listami i żądaniami nieraz bardzo dziwacznemi.

Autorowie jednak, których utworów nie przyjęto, nie powinni tego brać do serca. Czasem jest rzeczywiście nawał materyału, kwestya poruszona w artykule mogła już być obrobiona przez kogo innego, zresztą najlepiej napisana rzecz może nie odpowiadać kierunkowi czasopisma, które zwykle tylko wytrawni i dobrze z piśmiennictwem i jego zakulisowemi sprawami obeznani autorowie uwzględniają. A przytem liczyć się jeszcze trzeba z gustem i fantazyą osobistą. Jeden z najsławniejszych nowelistów amerykańskich opowiada, iż najlepszy jego utwór, drukowany w „Harpers Magazin,“ był wprzódy odrzucony przez „Century,“ a znów „Harpers“ odrzucił równie dobrą nowelę, skwapliwie drukowaną w „Century.“

Jakkolwiek dziwnym z pozoru fakt ten zdawać się może, wytłomaczyć go łatwo tem, iż rzeczy wyjątkowe, przechodzące powszednią miarę, przez to samo już nie każdemu podobać się mogą. Dlatego też znajdujemy w „Autorze“ nader trafną uwagę, opartą na cyfrach, iż do majątku dochodzą najczęściej nie wyborowi, ale średniej miary autorzy, bo ci podobają się masom. Wyborowi zaś odzywają się tylko do wyborowych czytelników, którzy zawsze i wszędzie są w mniejszości.

Może to stanowić pociechę dla tych, którzy nigdy nie dochodzą do popularności, realizującej się w brzęczącej monecie, jakiej dostąpił obecnie taki Ohnet lub jemu podobni.

Wszyscy mniej więcej wiemy o tem potrosze, ale praktyczni amerykanie ujęli to w matematyczne formuły i postawili z góry jako pewnik. Dają oni niejako do wyboru autorom drogi różne i pokazują, gdzie ich zawieść mogą.

Zarówno jak w Starym Świecie, nagrody ogłaszane za najlepsze powieści, nowele, rysunki itd., są w Ameryce rzeczą częstą. Bogate dziennikarstwo zdobywa się na nie z łatwością, częściej jednakże reklamują się w ten sposób poczynające, niż przepotężne dzienniki, które stać na daleko ważniejsze czyny. Sądy jednak konkursowe odbywają się zwykle z wszelką możliwą ostrożnością, ażeby je zabezpieczyć od entuzyastycznych niespodzianek, wydymających niekiedy efemeryczne sławy.

Oto np. „Detroit Free Press“ w roku zeszłym wyznaczył nader wysoką nagrodę za najlepszą powieść; rękopisów nadesłano paręset, które wszystkie ubezpieczone zostały, a raczej złożone w ubezpieczonych lokalach, których przedsiębiorcy odpowiadają za całość przedmiotów. Naturalnie samo zwyczajne odczytanie takiego mnóstwa utworów musiało zająć bardzo wiele czasu, według jednak ogłoszonego regulaminu każdy bez wyjątku rękopis musiał być naprzód odczytany przez trzy osoby, jednego członka redakcyi, oraz kobiety i mężczyzny, należących do świata literackiego, każda z tych osób obowiązana była podać na piśmie treść czytanej powieści, oraz jej kry-

tyczną ocenę, wymienić zalety i wady. Najlepsze z pomiędzy nich były znów poddane czytaniu dwóch innych osób, a przesiane w ten sposób najcelniejsze ziarno dopiero podlegało wyborowi ostatecznych sędziów.

Jest to niezawodnie manipulacya bardzo mozolna, przyznać jednak trzeba, że daje większą gwarancyę, niż zwykłe sądy konkursowe. Tam, jak u nas, wiele zależy na wyborze sędziów, przecież sam sposób sądzenia chroni od zbyt pospiesznych entuzyazmów.

Jak wielka w Ameryce jest liczba dziennikarek i od jak dawna zajęły poważne stanowisko w prasie, dowodzi fakt, iż od lat dziewięciu utworzono zostało w Washingtonie stowarzyszenie dziennikarek, które trwa i rozwija się ciągle, posiada nawet tak wielką doniosłość, iż w izbach są osobne trybuny na ich wyłączny użytek przeznaczono.

Każda autorka amerykańska, która napisała oryginalny utwór, drukowany chociażby tylko w poważnym dzienniku, ma prawo należeć do stowarzyszenia, które posiada piękny własny lokal. Opłata roczna stowarzyszonych wynosi tylko dolara. Jakkolwiek stowarzyszenie jest czysto narodowe, zagraniczne związki literackie żeńskie mogą z niem wejść w stosunki, a ich członkowie korzystać z przywilejów i udogodnień, jakie posiadają amerykanki, za pewną opłatą roczną.

Przy nadzwyczajnem rozpowszechnieniu dziennikarstwa nietylko każde stronnictwo, ale każda sekta religijna — a wiemy jak wiele istnieje ich w Ameryce — musi mieć swój organ. Stanowi to osobny rodzaj bieżącej literatury religijnej, w którym nie brak wymysłów i zarzutów czynionych przez członków jednego kościoła członkom drugiego. Inaczej być nie może wśród ludności czysto fanatycznej, skoro tylko każde zgromadzenie religijne wierzy, iż ono jedno jest w posiadaniu prawdy bezwzględnej.

Pomiędzy tego rodzaju czasopismami wyróżnia się organ stowarzyszenia utworzonego dla rozpowszechniania pojęć etycznych. Stowarzyszenie to powstało przed dziesiątkiem lat w Filadelfii, a obecnie liczy coraz wzrastającą liczbę kółek, rozszerzających się na całe Stany Zjednoczone, a które podobno i w Anglii także znalazło pewną garść zwolenników. Jak sama nazwa pokazuje, stowarzyszenie ma na celu rozpowszechnienie moralności niezależnej. Członkowie mogą należeć do jakiego chcą wyznania, stowarzyszenie nie stoi z żadnem z nich w antagonizmie, ale zajmuje się jedynie kwestyami moralności praktycznej. W tym celu wybiera sobie rzecznika. Jest to często człowiek znany w literaturze, musi posiadać przytem dar wymowy, ale nadewszystko warunkiem koniecznym do spełniania tego rodzaju kapłaństwa jest niepokalana dobra sława i szacunek ogólny. Obowiązkiem tego rzecznika jest miewać w niedziele odczyty lub nauki, jak je kto chce nazwać, o jakiejbądź kwestyi zajmującej ogół, objaśnić ją ze strony etycznej i dać wskazówki pod tym względem słuchaczom. Na ten cel stowarzyszenie wynajmuje salę albo teatr, stosownie do swej liczby i środków. Wejście jest dla wszystkich bez wyjątku bezpłatne, należący lub też nienależący do stowarzyszenia mogą zeń korzystać. Mówca jednak jest hojnie opłacany, a funduszu dostarcza składka członków, którzy opłacają dolara rocznie.

Łatwo z tego dochodu każde kółko może zadość uczynić wydatkom i prócz tego wydawać wspólnemi siłami kwartalnik, w którym znajduje się nietylko sprawozdanie z działalności kółek, ale wypowiedziane są także wysokie postulaty stowarzyszenia. Pragnie ono, ażeby moralność nie była martwą literą, dotyczącą pewnej z góry oznaczonej dziedziny grzechów i cnót, ale ażeby objęła wszystkie bez wyjątku stosunki, pragnie wywieść ją z zamkniętych świątyń, a wprowadzić na otwarte areny polityki i stosunków społecznych, pragnie, ażeby za jej pomocą regulowały się wszystkie interesy, słowem, by weszła w życie i z martwej po większej części litery stała się siłą ożywczą. Dlatego to stara się pod swoim sztandarem zjednoczyć wszystkie bez wyjątku, dlatego to unika wszystkiego, coby mogło tchnąć konfesyjnością lub też ateizmem. Stowarzyszenie nie myśli wcale zastąpić jakiegoś wyznania. Pragnie rozwijać się obok religii i wyrabiać w swoich członkach prawdę, sprawiedliwość, praktyczną miłość bliźniego, która zamiast ograniczać się na jałmużnie, wnika w położenie, a to są rzeczy niesprzeciwiające się żadnej religii, stanowią tylko rozwinięcie jej pojęć oraz przystosowanie ich do warunków życiowych.

W. Marrene.

POEZYA.

LEX.

I.

Na progu raju.

„De coelo auditum fecisti judicium
et tremuit terra, et quievit."
Jer. ps. 74.

. . . .

Upadł, jest słaby, twej uległ namowie.
Lecz mu jest dana
Moc postawienia stopy na twej głowie,
Moc, co jest gwałtem, a prawem się zowie,
Moc — pana.

Upokorzona, skalana bez winy,
Wyjdziesz za progi
Domu twojego i twojej rodziny,
By nosić brzemię i panu dać syny
Wśród drogi.

Podległą będziesz mężowi na ziemi
Przez dnie żywota,
Choćby się czyny pohańbił nędznemi,
Choćby nad tobą i dziećmi twojemi
Był jak sromota.

Stokroć on zaprze i czynem i słowem,
Żeś i ty człowiek.
Staniesz się jemu zdobyczą i łowem,
Sen będzie trzymał w swem jeństwie surowem
Twych powiek.

Ty — choćby silna — podlegniesz niemocy.
Choćby duch — glinie.
Na świetle dni twych, na cieniu twych nocy
Uczujesz jarzma zgrzyt i pięść przemocy
W każdej godzinie.

Jego się śladów dzierż i jego cienia,
Choć gnana biczem.
Wszystko mu oddaj, do tchu, do imienia,
On będzie osią twojego istnienia.
Ty — niczem.

Idź! Próżno patrzysz, gdzie brama zamknięta
Źrenicą łzawą.
Idź! Sama szyję podawaj w te pęta,
Idź, niewolnico, przed panem twym, zgięta:
— To prawo.

II.

Avadana-Sastra.

. . . .

I mówi mocny Manu: „Pies Tschandala
Nie będzie, pijąc, mącił czystej wody,
Co z gór się toczy i w źródła wkrysztala.
Ani tej, którą dla miłej ochłody,
Z rzek modrych, z jezior, z sadzawek, z cysterny
Konwią i dzbanem czerpie lud mój wierny.
A jeśli jego wyschła gardziel pragnie,
Jeśli się język popadał przeklęty,
Niech pije z wody tej, co stoi w bagnie,
Albo ze śladów racicy i pięty
Bydlęcia, w których deszcz naronił rosy.
A pijąc, na twarz niech zapuści włosy."

I mówi Manu dalej: „A nie będzie
Nosił odzieży on, ni jego sprosna
Niewiasta, ze lnu, który prządka sprzędzie,
A tkacz nawinie na cewki u krosna.
Ni z wełny owiec ciągnionej na włókna,
Nie kupi w kramie wełnicy, ni sukna.
Lecz żgłem, co z trupa spadnie, gdy zetleje
Skóra, kość się rozwiedzie skruszała,
Gniazdo twych szczeniąt Tschandala odzieje,
I nagość bioder opasze i ciała,
Bowiem i tak jest ran pełen i trądu.
A to się będzie dziać aż do dnia sądu."

I mówi mądry Manu: „W garniec nowy
Nie będzie warzy kładł, ni strawy chował,
Ni doju zlewał od kozy i krowy,
Ni stawiał misy pisanej na pował,
Ni wieszał tykwy na plecach w podróży:
Statek ten czysty jest i czystym służy.
Ale na miejskich śmieci pójdzie kupy
I zbierze garnków stłuczonych oszczęty
I u ogniska postawi skorupy
I jeść z nich będzie Tschandala przeklęty.
A gdyby w dobrej glinie miał co dane,
Naczynie będzie o kamień strzaskane."

I mówi Manu, mąż boży: „Tschandala
Nie będzie czytał w Wedach, jak człek święty,
Nad którym Brahma swe blaski rozpala.
Bowiem nieczysty jest i jest wyjęty
Ze zboru mężów, którym się odkrywa
Najwyższa miłość i mądrość prawdziwa.
A gdyby pisał wieść, czy obietnicę,
Ustąpi z światła i w zmierzchach usiądzie,
I weźmie pióro, czy trzcinę w lewicę,
I z prawej w lewą stronę pisać będzie.
A pismu jego nie doda sąd wiary,
Bowiem fałszebnik jest i kłamca stary."

I mówi Manu czysty: „Gdy się modli,
Nie wzniesie oczu do nieba i słońca,
On i ród jego; albowiem są podli.
Ni patrzeć będzie na pełnię miesiąca,
Ni imię Brahmy wziąć waży się w usta,
Bo klątwa nad nim jest i czarna chusta.
Lecz gdy sen spocznie na wiernych źrenicy,
Tschandala zejdzie na miejsca bezwodne
I wołać będzie do ducha ciemnicy,
I do tych duchów, co jęku są głodne,
I duchom złego, co rządzą otchłanie,
Modlić się będzie. A niech się tak stanie."

I jeszcze mówi Manu. „Gdy na drogę
Przechodzącego cień padnie Tschandali,
Niech wierny stanie, a wstrzyma swą nogę,
Póki się słońce do zorzy dopali,
I rosy drogę zmyją, i noc zetrze,
Bo grunt nieczysty jest i złe powietrze.
A gdy się rodzi płód i chce do świata,
Czy to w dzień jasny, czy w burzę i w nocy,
Jeśli Tschandala do drzwi twych kołata,
Zasuniesz wrzeciądz, a nie dasz pomocy.
Bo nim zrodzony jest, jest już przeklęty."

. . . .

Tak mówi Manu, mądry mąż i święty.

M. Konopnicka.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY WIEDEŃSKIE

27 sierpnia.

Wystawa afrykańska dr. Holuba w rotundzie.

Gmach, w którym mieściła się kiedyś wystawa światowa, co roku otwiera swe wrota pomniejszym. Po elektrycznej, hygienicznej, przemysłowej, rolniczo-leśnej, które wypełniały rotundę w latach poprzednich, po żółtych syngalezach i czerwonych indyanach, rozgościli się w niej czarni mieszkańcy Afryki południowej, nie żywi, lecz *in effigie*. Dziwne sprawia wrażenie wypchany ten lud z wypchaną kulturą, przywieziony przez dr. Holuba z Afryki do Wiednia. Austrya nie kolonizuje Afryki, to też jego wyprawa miała charakter platoniczno-naukowy, a i zajęcie, z jakiem wiedeńczycy przyglądają się „dem Congo-

negor,“ uwiecznionemu w pieśni ich ludowej, jest zupełnie inne, aniżeli niemców lub anglików. Wiedeńczyków przyciąga do wystawy już samo imię dr. Holuba, jednego z najpopularniejszych w Austryi etnografów, którego losy im są znane, a którego żona, dzieląca trudy podróży męża, jest z rodu wiedenką.

Nad brzegami Zambozi widać w atlasach białe miejsca, świadczące o tem, że okolice te całkowicie są niezbadane. Dr. Holub postanowił być pierwszym, któryby europejczykom doniósł o charakterze przyrody i szczepów tam żyjących. Niestety, najciekawsze właśnie przedmioty, zebrane na obszarach dawniej nieznanych, postradała wyprawa w ciągłych utarczkach z krajowcami, tak, iż musiano je odtwarzać z pamięci. Udało się jednak usilnym staraniom niezmordowanego badacza stworzyć obraz kultury południowo - afrykańskiej niemal całkowity.

Zapoznaje on nas naprzód z fauną i florą zbadanych okolic, oraz z charakterem ich geologicznym. Obraz przyrody południowo-afrykańskiej, ogółem wziąwszy, nie okazuje zbyt świetnych barw i stanowi wcale harmonijne tło dla ubogiej kultury plemion pierwotnych. Mimo iż murzyni używają już żelaza i posiadają państwa zorganizowane, kultura ich jest nad wyraz nędzna. Życie toczy się we wsiach, zbudowanych w koło, składających się z niskich chat kształtu kretowisk. W szeregu kompozycyj wcale udatnych przedstawił dr. Holub główne strony życia bantuów. Najdokładniej zapoznajemy się z mieszkaniem, spiżarnią i stajnią murzynów. Podczas gdy psy i kury żyją wraz z człowiekiem w chacie, kozy i barany mieszczą się w drewnianych komórkach, bydło rogate w osobnych stajniach. Stanowi ono główną część bogactwa murzynów, którzy mało trudnią się uprawą roli. Obawiając się napaści dzikich zwierząt, budują wsie swoje w miejscach ochronnych z natury; zaznaczył to dr. Holub, umieszczając w rotundzie wieś wśród skał.

Podział pracy u tych szczepów jest inny, aniżeli u ludów z cywilizacyą nieco posuniętą. Budowaniem domów zajmują się kobiety; sześć ich w ciągu ośmiu dni wznosi okazałą chatę. Natomiast sporządzaniem sukni i strojów trudnią się mężczyźni, baczący w tym względzie bardziej na własną okazałość, aniżeli na wygodę i elegancyę niewiast. Podczas gdy kobiety zadawalać się muszą perełkami szklanemi i fartuchem prostym, mężczyźni ubierają się we wspaniałe futra i płaszcze skórzane, a z kłów, zębów, ogonów zwierzęcych i skrzydeł układają sobie pyszne stroje. Są to trofea myśliwskie, przeznaczone dla ozdoby ciała, podobnie jak trofeów wojennych używają dla ozdoby mieszkań i zagród całych. Na płotach wszędzie widzimy bielejące czaszki zabitych wrogów; pod niemi umieszczone tarcze ich i oszczepy, a obok tajemniczy czar, który właścicielowi dopomógł do zwycięztwa. Podobnie wszystkie inne strony życia murzynów przesiąknięte są zabobonem. Pełno w niem czarów, pełno cudownych przepowiedni, zabobonnych praktyk, które rozstrzygać mają o sprawach prywatnych i publicznych. Jedną z nich jest dziki taniec, z którego szalonych ruchów kapłani wyczytują przyszłość.

W urządzeniu domu widać pierwsze ślady poczucia ozdoby i wygody. Sprzęty drewniane, łyżki i naczynia upiększone są robotą snycerską, nawet przedmioty skórzane i żelazne tu i owdzie okazują pewien artyzm. Plecionki i naczynia gliniane przypominają podobne wyroby innych ludów pierwotnych. Tylko pod względem broni szczepy murzyńskie, zbadane przez dr. Holuba, stoją na poziomie niższym, aniżeli ludy dzikie, których bronią napełnione dziś są przeważnie muzea etnograficzne Europy. *Sświosz.*

K A R T K I.

Akademia ludowa w Berlinie. Z początkiem obecnego roku powstała w Berlinie bardzo użyteczna instytucya, przez niektórych zwana szumnie akademią ludową, która jednak tytułuje się sama daleko skromniej: szkołą oświaty ludowej. Dzisiaj liczba jej członków wynosi do 4,000. Szkoła ta postawiła sobie dwa zadania: po pierwsze, wykłada się w niej systematycznie szereg skończonych kursów, trwających dłużej lub krócej; powtóre zaś zamierza ona urządzać już bardziej doryweze, ogólnie kształcące odczyty. Tygodniowo ma 16 godzin wykładowych, po dwie przypada na język niemiecki, nauki przyrodnicze, ekonomię polityczną, rysunki, cztery na historyę; buchhalterya, stenografia, kaligrafia, arytmetyka mają po godzinie. Przeglądając półroczne sprawozdanie, widzimy, że najwięcej osób uczęszczało na wykłady, posiadające znaczenie praktyczne, a zatem na stenografię, język niemiecki, buchhalteryę, kaligrafię i rachunki. Z przedmiotów teoretycznych największem powodzeniem cieszyła się ekonomia polityczna. Zresztą natłok jest olbrzymi, podczas gdy dochody bardzo nieznaczne (składka od członków w ilości 25 fenigów na miesiąc i opłata za wszystkie 16 godzin wykładu 50 fen.). Wykłady jednocześnie odbywają się w 6 miejscowościach Berlina. Słuchacze pochodzą jedynie z warstw ludowych. Inicyatorzy mają nadzieję, że po latach kilku całe Niemcy będą pokryte siecią podobnych szkół — z rozszerzonym programem.

Nowa utopia. Kiedyś w *Prawdzie* zdano sprawę z pracy Teodora Hertzki, która ukazała się w r. 1889 i usiłowała skreślić idealny ustrój społeczny *Freilandu*. Nie będziemy przypominali czytelnikom, na czem polega ów ideał, powiemy tylko, że jest głosem tego samego kierunku, który znalazł w swoim czasie rzecznika w osobie Proudhona, a znany jest pod nazwą teoretycznego anarchizmu. Naturalnie, jak bywa we wszelkich rozprawach tego rodzaju, autorowi zdaje się, iż jest genialną głową, która pierwsza znalazła rozwiązanie wielkiej kwestyi. „Wszyscy społeczni reformatorzy do czasów Hertzki sądzili, że dla sprawiedliwości trzeba poświęcić swobodę. Dopiero jego *Freiland* wykazał, w jaki sposób można urzeczywistnić sprawiedliwość za pomocą istotnej a doskonałej swobody.“ Przytoczyliśmy te słowa z broszury czynnego komitetu freilandowców. Mniejsza jednak, co ludzie sądzą sami o sobie; ważniejszą jest rzeczą, co robią. W tym względzie musimy przyznać, iż krzątają się żwawo. Naprzód sama utopia została wydana kilkakrotnie za nader przystępną cenę, następnie ogłoszono skróconą treść ze sprawozdaniem o ruchu w 25 tysiącach egzemplarzy po niemiecku i obiecano przetłomaczyć ją na inne języki. Powstało specyalne pismo, poświęcone idei Freilandu. Istnieje 24 kół z 1,000 członków w najrozmaitszych zakątkach, nawet na Honolulu i w Australii (zdaje się, jest tam więcej, niż w Niemczech!). Lecz najważniejsza, że freilandowcy, wzorem wszystkich utopistów, myślą o pokazaniu światu na przykładzie, jakie szczęście daje ich ideał. Zbierają kapitał akcyjny, aby powołać do życia społeczeństwo podobne—w Afryce, jak to uczyniono już w utopii. Nawet marszruta jest już wymierzona i okolica wybrana W poblizkim miesiącu ma być zjazd freilandowców i zapadnie ostateczny wyrok, aby zabrać się do podróży i — rozczarowania. Nie potrzebujemy wspominać, iż główną masę stanowi inteligencya wrażliwa, która ma pieniądze i czas na tego rodzaju zabawki.

Użytek fonografów. W Ameryce ukazało się nowe czasopismo *Phonogram*. Edison wydrukował tu świeżo artykuł o zastosowaniach fonografu, obecnych i możliwych. Dzięki temu wynalazkowi możemy załatwiać najrozmaitsze korespondencye i dyktanda bez pomocy stenografa, wydawać książki dla dotkniętych ślepotą i czytać im je bez pomocy lektorów, bez pomocy zaś nauczyciela uczyć wymowy obcego języka, odtwarzać muzykę, zachowywać dosłownie testamenty, mowy, dźwięki ukochanych osób, nawet wygasłe języki, otrzymać automatyczne zegary, przypominające czas obiadowy i terminy, notować lekcye profesorów. Większość wyliczonych zastosowań weszła już mniej więcej w życie. Fonograf np. przechowuje obecnie śpiewy, mowy, deklamacye, nawet całe opery i odtwarza je na każde żądanie. Również samouki, studyujący wymowę angielską, posługują się już tem narzędziem. Sprytni yankee marzą o pisaniu artykułów za pomocą fonografu, który powtarzałby treść wprost zecerowi. Inni sprowadzają fonograf, aby mieć go przy sobie nocą i powierzać mu przychodzące w północ myśli. Kompozytorzy podobnie, improwizując sztukę, odrazu będą mieli ją zapisaną bez wysiłku. Ponieważ fonograf może zanotować 800—1000 słów, niektóre rozporządzenia, wymagające licznej rzeszy pisarków, mogą być w oka mgnieniu powierzane aparatowi.

Użyźniacze gruntu. Ogólnie znane są badania Darwina nad rolą dżdżowników w sprawie użyźniania gruntów. Rezultaty, otrzymane przez tego badacza, zostały dowodnie stwierdzone przez poszukiwania Millsona wewnątrz Gwinei. Grunty są tutaj wyjątkowo urodzajne, dzięki szczególnym oraczom. Cała powierzchnia ziemi pomiędzy trawami jest pokryta walcowatemi krupkami, wyrzuconemi przez robaki. Badając ziemię pod powierzchnią, spostrzegamy, że jest porznięta drobnymi korytarzykami we wszelkich możliwych kierunkach, zwłaszcza w głębokości 30—60 centimetrów. Według obliczeń Millsona, ziemia poruszona przez nie z miejsca w ciągu roku wynosi 62,223 tonn na przestrzeni angielskiej mili kwadratowej. Jest to praca nader olbrzymia i mieszkańcy Joruby oceniają w zupełności jej znaczenie, do tego stopnia, że nie uprawiają gruntów, gdzie brak tych oraczów podziemnych. Co lat 27 każda szczypta ziemi z głębokości 60 centimetrów przechodzi na powierzchnię. Rezultaty pracy dżdżowników są bardziej zdumiewające i znaczniejsze, niż to wynikało z poszukiwań Darwina.

Próby sztucznego sprowadzania deszczów. Rząd północno-amerykański wyznaczył świeżo sumę mniej więcej piętnastu tysięcy rubli, celem przedsięwzięcia prób sztucznego wytwarzania deszczów. Nastąpiło to wskutek ciągłych utyskiwań rolnictwa z Dalekiego Zachodu; posuchy tutaj panują bezustannie i przyczyniają olbrzymie straty. Zamierzają puszczać w powietrze balony, napełnione tlenem i wodorem, sprowadzając wybuch i połączenie tych gazów zapomocą iskry elektrycznej.

Ucieczka obserwatoryum z Paryża. Badania astronomiczne w obserwatoryum paryskiem stają się coraz niemożliwsze. Oświetlenie elektryczne w miarę swojego rozpowszechniania czyni gwiazdy nocą niedostrzegalnemi poniżej gwiazd pierwszej wielkości i uniemożliwia zdejmowanie fotografij nieba. W pobliżu zostają przeprowadzane nowe ulice, zabudowane wysokimi domami i zasłaniają widnokrąg. Dym od kominów do reszty utrudnia badania. Przedłużenie linii kolejowej wywoła drgania wieży i narzędzi. Słowem, astronomowie marzą o ucieczce na łono ustronnej, cichej przyrody.

W nietkniętej dziedzinie wiedzy. W ostatnich czasach zwrócono baczniejszą uwagę na różne opowieści o ukazywaniu się osób nieobecnych. Niedawno wyszło olbrzymie dzieło o tym przedmiocie w języku angielskim, które nagromadziło mnóstwo faktów, jakoby stwierdzających to zjawisko Paryskie towarzystwo psychologiczne postanowiło zająć się zbadaniem tej kwestyi i wydelegowało specyalną komisyę z kilku osób. W liczbie ich znajdujemy takie zasłużone a jednocześnie trzeźwe powagi naukowe, jak profesora Beaunis z Nancy, Karola Richeta, znanego psychologa i profesora na fakultecie medycznym w Paryżu, pułkownika de Rochas administratora szkoły politechnicznej.

Hygiena społeczna. Jak wiadomo, wyroki sędziów angielskich są zwykle wskazówkami dla postępowania we wszystkich podobnych wypadkach na przyszłość. Otóż świeżo pewien sędzia skazał na karę pieniężną osobę, która przyprowadziła dziecko dotknięte szkarlatyną w miejscu zabawy publicznej. Uznano tedy za występek nieoględność w traktowaniu dotkniętych chorobą zaraźliwą.

LIBERUM VETO.

Posłaniec królewski przebudzony. — Sen prasy naszej i bezskuteczne środki ocucenia jej —Teatr wielki odnowiono. — Krach książkowy.— Jego przyczyny w beletrystyce. — Wymagania filistra—dziennik — reklama.

Pewien król — tak opowiada anegdota—wysłał swego sługę z rozkazem w bardzo odległe miejsce. Ażeby jaknajprędzej spełnić polecenie pana, sługa jechał bez przerwy dniem i nocą, drzemiąc tylko na bryce w krótkich chwilach, kiedy mu przeprzęgano konie pocztowe i budząc się natychmiast, gdy były do ruszenia gotowe. Po dziesięciu dniach podróży wrócił i stanął w przedpokoju monarchy, który kazał go przywołać. Daremnie jednak dyżurny generał usiłował go otrzeźwić: znużony posłaniec, stojąc i trzymając w zaciśniętej ręce list, spał snem kamiennym. Nie pomogły wszelkie targania i krzyki. Wyczerpawszy najenergiczniejsze środki, generał udał się do czekającego króla i oznajmił mu bezskuteczność swych usiłowań.

— Ja go obudzę — rzekł król z uśmiechem i wszedł do przedpokoju.

Nachyliwszy się do śpiącego sługi, krzyknął:

— Konie zaprzężone!

Posłaniec drgnął, otworzył oczy i z całą przytomnością podał list.

Prasa nasza, zwykle drzemiąca, przybywając do swych czytelników z wiadomościami w lecie zasypia tak twardo, że najsilniejsze wstrząśnienia nie zdołają jej ocucić. W roku bieżącym sen jej szczególnie był mocny. Daremnie nią wstrząsano.

P. Sienkiewicz pojechał do Afryki i podróż swoją opisał w szeregu listów. Zwykle po każdym występie utalentowanego powieściopisarza prasa warszawska się budzi i oddaje nieśmiertelności do zachowania wielką nowinę. Tym razem ani drgnęła.

Na polach wyścigowych ruskich nasze konie zdobyły kilka wysokich nagród. Uśmiechnęliśmy się, ale przez sen.

Zaczęły w nas uderzać bodźce jeszcze silniejsze. Jedna z gazet angielsko-francuskich, chcąc rozerwać sposobem Radziwiłła „panie kochanku“ swych ziewających czytelników, opowiedziała im z poważną miną, że podczas łowów na morzu ranny wieloryb połknął jednego z rybaków, którego potem znaleziono w nim żywego (jak wiadomo, mały przewód pokarmowy wieloryba pozwala mu przełykać tylko drobne stosunkowo ciała). Taki nadzwyczajny wypadek mógł nas zelektryzować, a nie wywarł głębszego wpływu. Doniesiono wreszcie, że przy ulicy Lepic w Paryżu chowa się roztropna świnka, zwana „Wenerą,“ która biega za wozami z mlekiem i żyje z hojności publicznej. Lecz nawet ta świnka, na którą śmiało można było liczyć, chociaż jej biografię opowiedziały pisma szczegółowo, nie orzeźwiła naszej prasy, śpiącej ciągle jak ów posłaniec królewski. Nakoniec znalazł się głos, który ją zbudził. Gdy jej krzyknął w ucho: „Teatr wielki odnowiony!“ — otworzyła oczy i odzyskała całą przytomność. Teatr gotów... p. Kotarbiński przygotował świeży repertoar... nietylko wkrótce wejdziemy do odświeżonej świątyni Melpomeny, ale zaczniemy pisać długie rozprawy o jej nabożeństwach, dowodzić szeroko i głęboko, że p. Kotarbiński przywrócił „wygnane ideały poezyi“ lub też, że zawiódł pokładane w nim nadzieje, że p. Tatarkiewicz był reżyserem lepszym lub gorszym, że p. Abrr. byłby najlepszym lub najgorszym itd. itd. Gdy zbliży się ta rozkoszna chwila ożywienia, zapomnimy nietylko o zagadnieniach wiedzy, o tryumfach pracy ludzkiej, ale nawet o syndykacie złodzici w Londynie, o rybaku we wnętrznościach wieloryba, o śwince w Paryżu, o tem wszystkiem, czem dziennikarstwo nasze zajmuje w lecie uwagę swych czytelników. Wtedy, och wtedy... będziemy w rozkosznem upojeniu powtarzali jedynie... Marcello... wspaniałość kreacyi... Ładnowski... pogłębienie charakteru... Ludowa.. urok pozazmysłowy... na szczycie śnieżnej Jungfrau... bezbakteryjna atmosfera moralności... ferment zepsucia.. skrzydlate porywy.. cały wreszcie słownik tych frazesów, które najgorszy sprawozdawca teatralny zna lepiej ode mnie.

Francuzi już nie tają, że w ich handlu księgarskim nastąpił „krach,“ Posiadają oni na składzie trzy miliony książek, których nikt kupować nie chce. W kilka miesięcy lub tygodni po wyjściu nowej można ją dostać u przekupniów za połowę lub czwartą część ceny, a bajeczne ilości rozsprzedanych egzemplarzy są blagą, obliczoną na łatwowiernych. Skarżą się autorowie na wydawców, że ich wyzyskują, a wydawcy na autorów, że płodzą marności i głupstwa, które wywołują odrazę i przesyt. Nadewszystko zaś ma być winien przesilenia fejleton, u nas zwany odcinkiem, w którym za tanią prenumeratę gazet abonenci dostają kilka powieści rocznie i dlatego książek kupować nie chcą. Gorzkie żale odnoszą się głównie do beletrystyki, gdyż na dzieła naukowe ogół nie był nigdy łakomy i prawdopodobnie nie będzie. W tem zjawisku, które, jak zobaczymy, obejmuje całą Europę i odciska swój ślad również na naszem życiu, odbijają się zasadnicze rysy ducha naszego czasu, dodatnie i ujemne. Przedewszystkiem jest on wyczerpany, jałowy, nowych pierwiastków wchłonąć w siebie nie chce, a dawnymi już żyć nie może. Nauka, jak zwykle, o ile nie znieprawiła się podłą służbą i spekulacyą, uprawia szlachetnie i niezależnie od tłumu niwę swych badań, na której wielkie zwycięztwa rzadko odnosi, ale też żadnych „krachów“ nie przebywa. Co innego beletrystyka, która z ogólnych uczuć się rodzi i te uczucia karmi. Jest ona albo olimpijską boginią, albo uroczą kobietą, czarującą wszystkiemi ponętami ziemi, albo guwernantką i moralistką, albo cyrkówką, rozpustnicą, prostą dziewką itd. Beletrystyka dzisiejsza nie jest odurzająco piękna, bywa jednak często bardzo ładna, ale na nieszczęście prawie zawsze płytka i ograniczona. O tem głównie myśli, ażeby się podobać wszystkim, a nie podoba się nikomu. Używa kosmetyków i mocnych perfum, robi miny naprzemian wyzywające i skromne, stroi się jaskrawo a modnie, nie lubi myśleć, a pragnie dowcipnie paplać. Salon, bawialnia mieszczańska — oto pole jej popisów. Przed burzą życia zamyka okna, przed jego błyskawicami zapuszcza rolety, przeciw jego piorunom zakłada konduktory lub asekuruje się od ognia; żebrakom daje jałmużnę, ale odmawia głosu nędzy, na niemoralność się oburza, ale w małych dawkach chętnie ją zażywa jako krople orzeźwiające, nie ma ani stałych zasad, ani głębokich pragnień, jest powierzchowną, niezdecydowaną, bezmyślną. Zapewne, że takim również musi być czas, który dał jej duszę, ludzkość wszakże, nie mogąc wyprzeć się macierzyństwa wobec tej córki, czuje bardziej bezwiednie, niż świadomie, że ona jej głęboko nurtujących uczuć nie wyraża, że na jej pytania nie ma odpowiedzi. Nic nie pomogą wszystkie koncepty i wysiłki powieściopisarzów i dramaturgów w kierunku oryginalności, wszystkie kombinacye miłosnego wiarołomstwa, niezwyczajnych stosunków i sytuacyj — czytelnicy i widzowie patrzą na te jasełka, smucą się przez chwilę lub weselą, trwałego jednak zadowolenia nie doznają. Oto pierwsza przyczyna, dla której książka beletrystyczna nie znajduje szerokiego pokupu. Niewątpliwie zabija ją także odcinek dzienny. Za kilkanaście lub kilkadziesiąt franków rocznie abonent ma codzień: powieść, wiadomości polityczne, doniesienia interesujące jego kieszeń, plotki, wesołe facecye — słowem, wszystko, co niezliczoną jak krople w morzu gromadę filistrów obchodzić może. Dziś ludzie nie filozofują w stajniach, jak dawni grecy, nie poszliby na wojny krzyżowe i nie spłonęli na stosach za wiarę, nie upajają się sztuką, wogóle nie odrywają się od ziemi, lecz usiłują opanować ją i wyzyskać możliwie za pomocą geszeftu. Na co im wspaniałe twory fantazyi? Gazeta zastąpi wszystko.

Zresztą od czasu, jak te twory dostały się w obrót spekulacyi na równi z innymi towarami, muszą ulegać ich losom. Niedawno *Times* opowiedział nam ciekawe szczegóły o handlu księgarskim w Anglii. Wydana tam książka, która w pierwszym tygodniu kosztuje 6 szylingów, w drugim — już tylko 4 itd. Na rynku zbytowym nie używa ona innych praw, niż mydło lub porter. Książki stanowią zwykle część różnorodnych artykułów sklepu, a nie osobny i jedyny przedmiot handlu. Zwłaszcza na prowincyi leżą w magazynach galanteryjnych obok innych wyrobów. Kobiety, trudniące się sprzedażą, nie mają wyobrażenia ani o literaturze, ani nawet o bibliografii. Jeżeli ktoś zażąda od nich książki, której w sklepie nie mają, proszą o dokładne wypisanie im obstalunku, który potem załatwią. Sam zaś „szef“ pewnej firmy, zagadnięty o przekład angielski Heinego, odrzekł: „Enri ein? And who might be, Sir?“ (co to za jeden?). Tanie wydania pism autorów, po śmierci których prawo własności ustało, znajdują się we wszystkich wielkich magazynach, gdzie bywają dodawane darmo damom, kupującym materye. Książka więc dziś jest towarem, a nieraz tanią przynętą sklepową.

Jako towar musi ona być koniecznie oskrzydlona reklamą, bez której daleko nie zaleci. Z własnych naszych doświadczeń wiemy, jak wymowny i skuteczny udział środek ten przyjmuje w tworzeniu sławy autorów i rozszerzaniu zbytu ich dzieł. Tu wcale nie z platonicznej miłości—o jednych mówi się w prasie ciągle i nie z lekceważenia — o innych milczy się uparcie. Tego wymaga praca i cele geszeftu. Każdy z czytelników moich łatwo oceni, co by się stało z rozmaitymi olbrzymami naszej literatury bieżącej, gdyby z pod nich usunęły się życzliwe ramiona, które ich podpierają. Ogół w bardzo małym stopniu ma własne gusty i samodzielne sądy, daje się łatwo steroryzować, namówić i zahypnotyzować wszelakim, a więc i dziennikarskim magnetyzerom. Czy on może się obronić, jeżeli każdy numer gazety, każdy afisz, każda recenzya okrzykuje z zachwytem jakieś nazwisko, jeżeli go zręczni namawiacze ciągną i pchają do jakiejś powieści lub komedyi? Z początku usiłuje być krytycznym, mieć własne zdanie, ale w końcu odurzony, zmęczony, ogłupiony wrzawą reklamy, ulega jej i powtarza za nią mechanicznie narzucony pacierz. Jeżeli zaś u nas, gdzie ona jest jeszcze nierozwinięta, widzimy nieraz zadziwiające rezultaty klaki literackiej, której połowa utworów współczesnych zawdzięcza swój rozgłos, to cóż dopiero dziać się musi we Francyi lub Anglii! Tam kupiec rzeczywiście wydaje wszelką robotę, bo wie, że jej powodzenie zależy nie od wartości, ale od reklamy. Nie ma takiego głupstwa, takiej nędzoty, któraby tym środkiem nie wcisnęła ludziom do rąk kilku tysięcy egzemplarzy. Ale po dłuższem doświadczeniu ta durzona i okpiwana publiczność, uratowawszy w sobie resztki rozsądku, spostrzega, że bywa nadużywana w swojej dobrej wierze, poprostu oszukiwana. Więc zaczyna być nieufną, w każdej pochwale przeczuwa interes wydawniczy i... przestaje kupować książki.

Oto jakie przyczyny zgromadziły te trzy miliony książek, które butwieją w składach wydawców francuskich. Nie jest to zaś przesilenie miejscowe, ale ogólno-europejskie.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Wyprużnianie resztek przeszłości. — Nasz niedostrój społeczny. — Dwie miary.

Uznanie należy się od interesowanych i widza, który śledzi rozwój stosunków rolnych u nas — *Gazecie lubelskiej* za to, iż ona z całej prasy prowincyonalnej najskwapliwiej notuje dane, dotyczące postępów w zakresie słynnej sprawy serwitutowej. Nie wysysa tych faktów z palca, ale czerpie z wykazów urzędowych, ze źródła również dostępnego i dla jej towarzyszek, które wolą pod tym względem milczenie, niż informacyę, mogącą rozszerzyć świadomość naszą w tej dziedzinie zjawisk życia społecznego. Nim się o nim dowiemy, poprzestańmy na rąbku naszego kraju—na Lubelskiem. Według danych urzędowych, rozmiary uporządkowania służebności od dnia 1 stycznia r. b. przedstawiają się tam w następujący sposób: Uregulowano ostatecznie dla osad w powiecie biłgorajskim 332, pozostało do uregulowania dla osad 6,620; w hrubieszowskim dla osad 2,794, pozostały w 2,187 osad.; w zamojskim — dla 2,016, pozostały do załatwienia w 4,894; w krasnostawskim—dla 1,036, pozostały w 3,436; w lubartowskim uregulowano w 3,628, pozostały w 1,278; w lubelskim 2,939, pozostały w 1,401; w nowoaleksandryjskim 4,661, pozostały w 1,443; w tomaszowskim 4,326, pozostały w 2,417; w chełmskim 2,662, pozostały w 2,758; w janowskim 2,267, pozostały w 3,898. Ogółem rozgmatwano dotkliwy dla postępów gospodarki rolnej u nas węzeł gordyjski w Lubelskiem w 26,616 osadach, pozostał on do rozwikłania — 30,441. W stosunku więc do ogólnej ilości posiadanych przez włościan serwitutów pastwiskowych, leśnych i łącznie jednych z drugimi, których liczba jest przeważająca, usunięto ich najmniej, bo 4,5% w pow. biłgorajskim i 56% w hrubieszowskim, 50% w chełmskim, 66% w tomaszowskim, 70% w lubelskim, 73% w nowoaleksandryjskim i aż 77% w lubartowskim *). Przyjąwszy zatem, że do dnia 1 stycznia w Lubelskiem znajdowało się 57,058 osad włościańskich, które posiadaniem prawa służebności krępowały obustronnie siebie i dwory, usunięto tej kości niezgody sąsiedzkiej w stosunku 46,5%: załatwienia więc czeka już przeszło połowa tylko osad, tj. 53,5%. Jak prędko i w jaki sposób dokonane zostanie oczyszczenie własności chłopsko-ziemiańskiej z tej reszty jej hamulców, określić trudno, gdyż to, co dotychczas pod tym względem było zrobione, uskuteczniono na mocy Ukazu z dnia 29 grudnia 1875 r. o obowiązkowej zamianie gruntów objętych szachownicą, termin zaś tego prawa dobiegł kresu zeszłego roku. Dlatego też nie wnoszono już dalszych w tej mierze żądań, lecz rozstrzygnięto tylko układy w 19 wsiach dla 315 osad. Za to sprawa urządzeń gospodarstwa leśnego, które obciążały serwituty, postępuje prawidłowo i obecnie prawie wszędzie w lasach większych dokonano regulacyi. Dalsze jednak jej postępy idą wolniejszym krokiem, ponieważ przedstawione przez właścicieli majątków plany władze włościańskie roztrząsają z wielką uwagą, z troskliwością o to, żeby interesy chłopskie nie poniosły szwanku. Takich planów w r. 1890 przedstawiono 21, ale z tej liczby zatwierdzono tylko 18, pozostałe zaś 3 odrzucono jako niedokładnie sporządzone i niezgodne z obowiązującymi właścicieli lasów przepisami. Dotychczas w Lubelskiem odgraniczono gruntów włościańskich 468,703 morgów, nieodgraniczonych zostało jeszcze 699,354. Jak widzimy więc, Lubelskie szybkim a stanowczym krokiem zmierza ku stosunkom, bardziej licującym z zasadami gospodarki tegoczesnej i jeżeli w jego ślady pójdą inne prowincye, to zarówno drobna, jak średnia i wielka własność u nas rozpęta się całkowicie z więzów, krępujących dotychczas jej naturę. Gdy zważymy jeszcze tę okoliczność, że tej czysto prawnej regulacyi ściśle odpowiada głębszy proces przemiany w istocie swej kapitalistycznej — w łonie samej produkcyi rolnej, a obraz tego obrębu życia ekonomicznego w kraju nabierze pełności.

*) Stosunek uregulowania służebności dlatego niekorzystnie wypadł dla powiatów: biłgorajskiego, zamojskiego i janowskiego, ponieważ układy z ordynacyą Zamoyskich, tam rozmieszczonej, szły opornie. Pożądanem byłoby wiedzieć — czemu?

Daleko głębsze są te ślady, które bieg wypadków wyrył na wzajemnym stosunku do siebie warstw wiejskich: najemników do dworu. Zniknął pod naciskiem konieczności stary, szanowny porządek feodalno-patryarchalny, a z nim nieodżałowany typ „cnotliwego" sługi, ba, co większa — schodzi z powierzchni życia coraz szybciej dawna rasa pana. Potomek wojewodów i starostów, popchnięty potrzebami gospodarki pieniężnej i potężnym bodźcem rynku powszechnego, zrzuca z siebie szlachecką wylinę i wdziewa skórę mieszczańską. Jaki taki, za podszeptem popędu samozachowawczego, nastrajając się harmonijniej do warunków zmienionych, idzie dalej i nową skórę odziewa duszę burżuazyjną. Większość znajduje się na połowie drogi: są to ludzie częściowo przystosowani do nowego środowiska. Pokutująca jeszcze w nich stara szlachecko-pańska dusza każe im pocić się nad trudnem zadaniem związywania z sobą krótkich końców skromnego dochodu i równocześnie ramienić wobec samopomocy małomieszczańskiej, w której objęcia pcha samo życie — wstydzić się nietylko samej pracy fizycznej, ale nawet jej znajomości. Z tego źródła pochodzi fakt tak względnie słabego stopnia demokratyzacyi obyczajowej u nas. Z tego też źródła wywodzi *Gazeta radomska*, słusznie poniekąd, zjawisko nadmiaru sług w naszem społeczeństwie. Gdzieindziej, np. w Anglii, liczebność tej klasy ludzi jest typowym wskaźnikiem wzrostu bogactw w warstwach uprzywilejowanych i postępów zubożenia — w dolnych. Jedno i drugie jest również naszym dobytkiem, tylko ze skali swojej skromniejsze — jak same warunki, jak nasz kapitalizm. Naszą zaś wybitną cechą jest różnorodność tych pierwiastków społecznych, które gdzieindziej jaśniej w istocie swojej ograniczone — zwą się mianem małomieszczaństwa. U nas ono jeszcze zanieczyszczane jest żywiołem szlacheckim, który albo się na nie składa, albo je zabarwia swoją obyczajowością. *Gazeta radomska*, zabierając głos w sprawie „państwa i służby," tak trafnie (poniekąd) charakteryzuje tę naszą „pół-pańskość," że pozwolimy sobie na kilka z niej cytat. Kwestya sług, jej zdaniem, wyrasta z lenistwa „państwa." „U nas — powiada — do dziś dnia zamożność, dobry ton, pozycya społeczna mierzą się między innemi — ilością służby. Trąci to jeszcze Azyą, ale jest dobrym tonem. Więc dwa draby — zwane lokajami, jeżeli z pańska, a przynajmniej jeden, jeżeli z szlachecka; potem klucznica, inaczej gospodyni, dalej kucharz i kuchcik, jeszcze dalej garderobiana i pokojówka, a nareszcie (u panów) kozaczek w szerokich, żółtych okolicznościach. Nie inaczej dzieje się w domach urzędników, kupców, przemysłowców (?), możniejszych rzemieślników itd. I tu spotyka się w większej części wypadków nadmiar służby, albowiem spanoszone mieszczaństwo zupełnie naśladuje fantazye i głupstwa dawnej arystokracyi rodowej. Z jednej strony próżność, z drugiej wstyd pracy ręcznej, jako niewolniczej, sprawiają, że każdy, chcący uchodzić za pana, musi hodować koło siebie i swoich czeredę próżniaków." Oprócz próżności piętnuje jeszcze autor lenistwo. „Pani, dajmy na to urzędniczka, co to kupuje „za dwa drzewa, a za grosz świeczkę," sama się nie zajmie ani porządkiem w domu, ani koło dzieci; panienka nie umie się ubrać, ani posprzątać swoich gałganków; panicz nie oczyści sobie ubrania i obuwia; wszystko to muszą zrobić cudze ręce. Żadne z tych państwa nie wstanie i nie pójdzie o kilka kroków, żeby się wody napić. W klasie, nazywanej zbiorowem mianem „inteligencya," tak się dzieje pospolicie... Panie, panny i panicze wstydzą się szczotki, ścierki, igły. A broń Boże, nużby kto zobaczył, że panienka ściera kurz ze sprzętów, chodzi ze służącą na rynek po wiktuały, słowem, że coś robi. I któżby się z nią ożenił? — pyta truchlejąca mama — przecież ona nie żadna córka stróża lub szewca." Wstręt do pracy zmusza mieć liczną, nieproporcyonalną do dochodów służbę, co rodzi w tych, którzy z niej korzystają, skutkiem bezczynności fizycznej, zwyrodnienie całego organizmu, wygórowaną czuciowość, znudzenie, *spleen* i cały szereg objawów psychopatycznych.

Rozumiemy i oceniamy tę surowość chłosty, którą ów lekarz od niedomagań społecznych tak nielitościwie wymierza całej szarej warstwie, złożonej zarówno z rzemieślnika, podupadającego ziemianina, chudopacholskiego urzędniczyny itd.; przyznajemy słuszność wskazywania jej, jako takiej, wzorów oszczędności i samopomocy małomieszczańskiej; nie pojmujemy tylko, po co do tej gromady drobnych rybek zostały wmieszane szczupaki (wielcy przemysłowcy), których fantazye dorobkiewiczowskie, chociażby skrojone na modłę arystokracyi, trudno ważyć na jednej szali z zachciankami przedstawicieli małego kapitału i gaż najemniczych? Tamtym należy się inna miara, niżeli tym. Co wolno akcyonaryuszowi zyskownego przedsiębiorstwa, to szkodzi posiadaczowi kilkuset włók, obciążonych ratami Towarzystwa — i majsterkowi. Zresztą — co pomoże zażegnywanie słowne przywarom naszym? Warto poczekać — nadbiegnie jeszcze fala życia i wtłoczy nas w pożądaną koleję...

Z. Atanazy.

KRONIKA.

Wiadomości administracyjne. *Warsz. Dniew.* pisze: „Podczas manewrów wojsk pruskich nad granicą Królestwa Polskiego pod Nidborkiem zdarzyły się dwa wypadki przekroczenia granicy przez pruskie rekonesanse kawaleryi. W dn. 17 sierpnia rekonesans złożony z dwóch dragonów, a 18-go — złożony z trzech ułanów szeregowców śród białego dnia przeszły granicę w pobliżu kordonu Smolony (w rewirze brygady łomżyńskiej straży pogranicznej) i dotarły aż do wsi Polcie Stare, odległej o 5 wiorst od granicy w pow. mławskim gub. płockiej, a powróciły na terytoryum pruskie nieopodal kordonu Trzońsk. Rekonesans ułański przesunął się w pełnym galopie pod samym kordonem i z tego powodu nie mógł być przez straż pograniczną zatrzymany. Obadwa rekonesanse były pod komendą podoficerów, którzy, jak powiadają, zbierali jakieś wiadomości i zapisywali je w notatnikach."

Sprawy społeczne. Departament lekarski wydał w tych dniach polecenie, na mocy którego zarządy lekarskie mają pilnie przestrzegać, aby apteki nie trzymały t. zw. „praktykantów" bez odpowiednich kwalifikacyj naukowych.

— Z powodu używania przez włościan kropli Hoffmana (anodyny), jako napoju odurzającego, ministeryum finansów zaleciło urzędom celnym zwrócić pilną uwagę na ten rodzaj handlu, rozwijającego się w gub. zachodnich. Jednocześnie departament lekarski poruszył sprawę ograniczenia sprzedaży tego środka narkotycznego.

— W celu uprzystępnienia papierów procentowych dla biedniejszej ludności, istnieje projekt wypuszczania małych wartości nominalnych. W sprawie tej sfery właściwe otrzymały już obszerny referat.

— Zatwierdzono zapis Adama Sławińskiego 1,500 rs. na przytułek dla paralityków i chorych nieuleczalnie.

— Rada miejska dobroczynności publicznej w Warszawie zatwierdziła zapis Henryka Czeklerskiego 2,000 rs. na rzecz Warszawskiego Towarzystwa lekarskiego, na powiększenie funduszów wsparcia dla wdów i sierot po lekarzach i aptekarzach, tudzież dla podupadłych pracowników tych zawodów.

— W dn. 15 b. m. oddany będzie do użytku nowy dom dla pomieszczenia paralityków żydów w Warszawie.

— Ministeryum spraw wewnętrznych ostatecznie uznało potrzebę nowego podziału gmin w guber.: wołyńskiej, besarabskiej i innych, w których znaczną część ludności stanowią koloniści zagraniczni. Potworzyli oni odrębne gminy, usunąwszy zupełnie żywioł ruski.

— Na Węgrzech utworzyła się sekta religijna pod mianem „Nazarejczyków."

— W wielu miastach niemieckich w prowincyach zachodnich podwyższono ceny chleba.

Szkoły. W ministeryum oświaty złożono projekt opodatkowania fabryk i zakładów przemysłowych, w celu utworzenia funduszów na rzecz szkół rzemieślniczych i kursów wieczornych.

— W Warszawie przy ul. Św. Krzyzkiej nr. 29, otwarto szkołę fechtunku. Założycielem jest p. Michaux.

— W b. m. otwarta będzie w Rydze elementarna szkoła medycyny dla kobiet, z nauką pielęgnowania chorych.

— W gub. grodzieńskiej właścicielka ziemska, pani Osińska urządza szkołę gospodarstwa kobiecego. Kandydatki mają płacić po 50 rubli *miesięcznie*! Naiwność aferzystki godna jest podziwu.

— Z powodu napływu kandydatów na wykłady rolnicze przy uniwersytecie w Krakowie, utworzono trzy nowe katedry: rolnictwa, weterynaryi i nadzwyczajna — inżenieryi rolniczej.

Sprawy kolejowe. Ogłoszono ważne zmiany w ustawie kolejowej: 1) Droga żelazna nie ma prawa w żadnym wypadku odmówić przyjęcia pasażerów i bagażu. Ostatni może być nieprzyjęty w razie przepełnienia nietylko wagonów towarowych, lecz i placów. 2) Powinien być wywieszony na każdej stacyi jej plan i wszystkich urządzeń, przeznaczonych na przyjęcie towaru. Koleje powinny zapobiegać przemoczeniu towarów złożonych na stacyi. Na rozszerzenie i odpowiednie urządzenie stacyj kolejowych ustanowiono podatek w stosunku 1/8 kop. od puda towaru.

Wystawy. Zimą odbędzie się w Warszawie wystawa kucharska.

— W Petersburgu odbędzie się r. 1895 wystawa leśna, połączona ze zjazdem właścicieli lasów.

— W Gottenburgu otwarto szwedzką wystawę rolniczą.

— W Antwerpii otwarto wystawę obrazów.

— *Narodni listy* projektują urządzenie w r. p. wystawy czeskiej w Paryżu, na wzór tegorocznej niemieckiej w Londynie.

— W Wiedniu otwarto wystawę żywności z punktu hygieny. Z tego powodu odbędzie się tam w październiku międzynarodowy zjazd chemików i bakteryologów.

Zdrowie publiczne. Ogłoszono ustawę szpitala dla obłąkanych w Tworkach. Zakład wraz z istniejącą przy nim kolonią przyjmuje: chorych uleczalnych i nieuleczalnych, osoby, których stan umysłowy powinien być zbadany na żądanie władz rządowych, i wreszcie osoby, przysłane przez instytucye sądowe. Miejsc jest 420, z tych 104 dla nieuleczalnych, zdolnych do pracy na kolonii i mogących korzystać z większej swobody. Płatnych miejsc 300, bezpłatnych 100. Utrzymanie chorych bezpłatnych zależy od postanowienia rady miejskiej dobroczynności publicznej ze zgodą General-Gubernatora.

Wypadki. Grady i burze wyrządziły wielkie spustoszenia we Włoszech północnych.

— Na oceanie Wielkim spotkały się dwa parowce angielskie. Dwadzieścia kilka osób utonęło.

— W Stanach Zjednoczonych na drodze West Shore zetknął się pociąg osobowy z towarowym: kilkadziesiąt osób zginęło.

— Pod Statesville (Karolina północna) pociąg spadł z mostu na 80 stóp wysokiego. Ogromna liczba podróżnych zginęła.

Zmarli. Jan Neruda w Pradze; jeden z najznakomitszych pisarzów nowoczesnych w Czechach. W okresie przewagi wpływu niemieckiego, gorliwie rozwijał idee narodowe w swem społeczeństwie. Pisał dużo prozą i wierszem; redagował *Obrazy života* i *Lumira*, był współpracownikiem *Narodnich listów*, *Hlasa Naroda* i *Czasu* (czeskiego).

— Piotr Rosa; senator, generalny dyrektor wykopalisk w całych Włoszech, wielki znawca archeologii. Jemu zawdzięczają odkopanie pałacu Cezarów na Palatynie.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 23 Августа 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.